



CW 9013

Cena zł 20

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 1 maj 1949 r.

Nr 17 (179)

Zygmunt Lichniak

Realizm Zukrowskiego

Patetyczne rapsody wspomnienia, sze roko rozbudowana alegoria baśni, krzywe zwierciadło groteski nie wystarczyły Wojciechowi Zukrowskiemu, nie pozwoliły mu w pełni zrealizować pilnej dla każdego człowieka, a zwłaszcza dla każdego pisarza, konieczności określenia widzianego świata, ukazania jego osi i kierunku jej obrotów. W czwartym z kolei utworze Wojciech Zukrowski zrywa z dotychczasowymi, stworzonymi przez siebie typami deformowania rzeczywistości. Nie usiłuje odbijać jej konturów w taflę subiektywnych wspomnień, zasnutych mgłą lirycznych wzruszeń, nie każe jej przeglądać się w powierzchni bajkowych jezior, nie sugeruje nam jej prawdziwych kształtów przez paradoksalne zniekształcenia lunaparkowych zwierciadeł, ale ukazuje nam ją wprost odbitą w wytarłej do czysta szybie kabiny obserwatora.

Powieść Zukrowskiego^{*)} jest próbą realizmu.

Wypilki tej próby różnie ocenili krytyka różnych obozów. „Kuznica” stwierdziła autorytatywnie, że „nie wyszło” (por. artykuł Aleksandra Jackiewicza pt. „Sprawa Zukrowskiego”, nr 12 (185) z dn. 25 marca 1949 r.). „Tygodnik Powszechny” podobnie ocenił wynik próby Zukrowskiego, chociaż — jak łatwo się domyślić, inaczej swoje zarzuty motywował i przeprowadzał analizę omawianego utworu (por. artykuł Zofii Starowiejskiej — Morstinowej pt. „Winogrona Appellesa”, w nr 3 (201) z dn. 23 stycznia 1949 r.).

Chociaż zadaniem tego artykułu nie jest polemika z dotychczasowymi ocenami „Ręki Ojca” (bo wtedy trzeba by zajęć się i ciekawą pracą Ireny Sławińskiej w „Odrze”, i anatomiami „Wsi”, i mglistymi wypowiedziami drukowanymi w jednym z poprzednich numerów „Dziś i Jutra”), wydaje się rzeczą pozytywną dla sformułowania naszego sądu, zacząć od wyjaśnienia pewnych nieporozumień, jakie leżą u podstaw wypowiedzi Jackiewicza i Starowiejskiej-Morstinowej, nieporozumień charakterystycznych dla pewnych postulatów, stawianych literaturze przez dwa odmienne światopoglądy.

Według Jackiewicza — „wątek religijny” w powieści jest reprezentowany przez księdza Bazylego. Wykazawszy bierność tej postaci i jej znikomą funkcję w powieści, dochodzi recenzent do wniosku, że „pojęcie Ręki Ojca nic nie wyjaśnia i nie wiąże się z fabułą utworu”. Wniosek błędny, bo błędny punkt wyjścia. Taki punkt wyjścia nakazało wybrać błędne założenie, że religia chodzi po świecie tylko w sutannie. W powieści Zukrowskiego ks. Bazyl spełnia rzeczywiście rolę bardzo podrzędną (o czym trzeba będzie więcej powiedzieć w dalszym toku rozważań), ale nie on uosabia wątek „religijny” utworu. Dopatrzeć się go można (a chyba i trzeba) w układzie sytuacji, przebiegu wydarzeń, a jeśli już w postaciach, to ra-

czej w Łucji i w tragicznie ginącej córce Ratajczykowej. W podobny sposób uprościł sobie Jackiewicz analizę wtku politycznego. Sprowadził go do postaci Tadeusza, a wykazawszy w tej postaci niezdrowe przerosty ambicji i egotycznych schorzeń, zgłasza pretenzję do Zukrowskiego, pytając, czy „chcąc zobrazować moment objęcia władzy przez lud, nie mógł mu dać czystszych konturów”? Oczywiście, że mógł. Ale — nie musiał. Stworzył postać, która jest funkcją pewnych zagadnień, wykresem pewnych konfliktów, a mimo to konsekwentną psychologicznie konstrukcją psychiczną. Zarzut recenzenta „Kuznicy” jest zrozumiały jako wyraz tęsknoty do tzw. „bohatera pozytywnego”, tęsknoty znajdującej uwzględnienie w jednym z postulatów soc-realizmu, ale nie stanowiącej obiektywnego kryterium opisu dzieła literackiego. Wolno Jackiewiczowi dawać wyraz swoim osobistym tęsknotom, ale nie wolno — referować fałszywie utworu Zukrowskiego. Bo fałszywe są sugestie zdenerwowanego recenzenta, jakoby Tadeusz w „Ręce Ojca” odgrywał z polecenia autora rolę postaci dodatniej. Nikt w powieści Zukrowskiego nie znajdzie powodu na akceptowanie takiego typu ludzi. Układ wydarzeń — który stanowi jedyną formę ingerencji autorskiej w tok epickiej relacji — nasuwa inne sugestie. Ale — sugestie pozostawmy na boku. Faktem jest, że wmawianie Zukrowskiemu sympatii do Tadeusza jest bezpodstawne. Tak samo bezpodstawne jest spłylenie postaci Nahorayskiego do chciwego na wygodę życiową snoba, dokonane w oparciu o jego jedno odezwanie się do żony. „Przekonasz się, że w krótkim czasie wszystkie znowu będziemy mieli”. Recenzent zacytowałszy to zdanie, dodaje od siebie: „To oczywiście jest najważniejsze dla sędziego”. Recenzent grzeszy... słabą pamięcią. Nahorayski zdawkowym, a tak skrupulatnie przez Jackiewicza wynotowanym zdaniem pociesza żonę. Ale „widział w żonie podsuwany mu przez nią obraz, jak podpatrzone za oknem cudze szczęście: nie cenił go, ani nie pragnął dla siebie” (str. 8). „Na razie chciał być

tylko wolnym”. (str. 9) „Życie ma biec bez zmian do chwili, gdy linia frontu przesunie się poza dolinę Siniawki, wtedy wyjdzie z domu bez czapki, wsiądzie do pierwszej ciężarówki i utonie w fall taborów”. (str. 9). Chyba przy snuciu takich planów nie portfel, ale coś innego odgrywało rolę pierwszorzędną.

Uprościwszy do absurdu zagadnienie i wątków i postaci można było ze spokojnym sumieniem powiedzieć, że „nie wyszło”. A można było wystawić cenzurkę Zukrowskiemu — artyście. „Soczysty zwykły styl pisarza nie wystarczył, by pokryć mielizny ideowe i szersze płaszczyzny konstrukcji cierpiącej na rozluźnienie kości. Opisy przyrody oraz kilka dobrych, jak zawsze, scen batalistycznych, zresztą tu ukazanych w tempie zwolnionym, nie uratowały utworu. Wypadki nieważne, ludzie zafalszowani od strony ich podbudowy psychologicznej i społecznej — kwiją obok siebie, wyosobnieni każdy na inny sposób. Spięcia dramatyczne, których nie zdołał objąć ani intelekt pisarza ani jego zdolności malarskie, chorują na niedokrwistość”. Czyli: trójka z dwoma minusami. Causa finita. Ale chłopiec jest zdolny i mogą być z niego ludzie...

Zatrzymaliśmy się dłużej przy recenzji Jackiewicza ze względu na jej symptomatyczność. Bo chyba tylko skłonnościami „Kuznicy” do tego typu analizy tłumaczyć się mogą inne, jeszcze paradoksalniejsze sądy o Zukrowskim. Z podziwu godną odwagą bez trosko zamknięto go do szufladki z napisem „naturalizm”. W pośpiechu zapomniano o argumentach. Nie przeszkadza to co raz częściej mówić o Zukrowskim naturalistycznie. Czyżby bezdyskusyjna intronizacja nonsensu? Akceptacja — delikatnie mówiąc — nieporozumienia czy nadużycia terminologicznego? Nie. Raczej jeden z mitów jednostronnej krytyki. Warto go skonfrontować z wymaganiami poprawności logicznej, czy choćby krytycznej. Ta ostatnia konfrontacja wymaga przede wszystkim jasnego postawienia sprawy. Co rozumiemy przez naturalizm?

Historyczne jego rozumienie — jeśli chodzi o płaszczyznę zjawisk interesujących nas ze względu na etykietkę przyczepioną Zukrowskiemu — wynika z analizy pewnych faktów literackich, z których za najbardziej reprezentatywne uchodzą utwory Emila Zoli z „Germinalem” na czele. Naturalizm Zoli cechuje dążenie do szczytowego obiektywizmu i wynikające z tego dążenia programowe negowanie pierwiastka imaginacyjnego na korzyść tzw. sensu du réel. To rozumienie przebiega z większością definicji naturalizmu. Podaję przykłady.

1) „W literaturze naturalizm oznacza ten kierunek artystyczny, którego stosunek do świata określa się przez wyłączenie wszelkich czynników metafizycznych i przez prawie wyłączną obserwację tej rzeczywistości, która dostępna jest poznaniu zmysłowemu. Kierunek ten za swój cel uważa bezwzględne i pełne oddanie tej rzeczywistości w dziele artystycznym... („Realismus der deutschen Literaturgeschichte, von Paul Merker und Wolfgang Stammter, Berlin, 1926 — 28).

2) „...Artystyczny naturalizm jest... tezą, że jedynym zadaniem artysty jest obserwować dokładnie i notować jasno charakter i zachowanie swego fizycznego otoczenia. Artysta nie powinien szukać jakiegś „ukrytej” rzeczywistości lub zasady...” („The Dictionary of Philosophy”, ed. by D. D. Runes, New York, 1943).

3) „Naturalizm dąży do reprodukcji szczegółów życia bez selekcji” („A Dictionary of English Literature”, by H. A. Watt and W. W. Watt, New York, 1945).

Podobnych przykładów można by przytoczyć więcej. Oskar Walzel (w „Geschichte der modernen Literatur”), Julian Krzyżanowski (w drukującym się już chyba „Słowniku literackim”), Sowiecka Encyklopedia Literatury, czy inne źródła łączą naturalizm w literaturze z konsekwencjami naturalistycznej koncepcji człowieka, co wydaje się rzeczą słuszną i usprawiedliwioną. Jeśli

zatrzymamy się w tym kręgu określeń, a wydadzą się one — niezależnie od różnic w sformulowaniach — połączone słuszną linią konsekwencji — wiążącej koncepcję człowieka z jej realizacją w dziele artystycznym — jak argumentujemy naturalizm Zukrowskiego? Musimy otrzymać na to pytanie odpowiedź. Czekamy — dziwnie spokojni o wynik. Tyle jeśli chodzi o refleksje „kuznicowe - zukrowskie”.

Wspomniany artykuł Zofii Starowiejskiej-Morstinowej budzi inne zastrzeżenia. Trudno się zgodzić z autorką, gdy powieści Zukrowskiego stawia zarzut, że „jest historią kilku doniosłych historycznych dni, nie jest zadumą nad życiem, człowiekiem i jego losem”. Trudno się z tym zarzutem zgodzić, chociaż autorka tłumaczy go szerzej w swojej świetnej recenzji. „...z tytułu, jak i z końcowych wypowiedzi ks. Bazylego dowiadujemy się, iż autor chciał nam przedstawić działanie Opatrzności Bożej na świecie, pokazać, jak w życiu, dia nas nierzad niewidocznie, się istotnie, spoczywa na ludziach ręka dobrego Ojca — Boga. Zamiar ten nie został zrealizowany. Nie stał się osią książki, jej żywą krwią, pozostał na jej powierzchni. Nie jest klimatem książki, ale jej przyczepką. I to bardzo książkę psuje, bo wzbudza w czytelniku pytania i pragnienia, które zaspokojone nie zostają”. Istnieje kilka obiektywnych względów każących się spierać z takim osądem. Po pierwsze — wyrasta on z próby generalizacji momentu odbioru książki przez czytelnika, przyjmując nader hipotetyczne istnienie jakiegś wspólnej, obowiązującej wszystkich postawy wobec dzieła, uzależnionej jego zawartością treściową. Po drugie — wymaga uzgodnienia różnych poglądów na funkcje poznawcze dzieła literackiego: czy ma ono zaspakajać czy budzić tęsknotę poznania, stawiać pytania, czy odpowiadać na nie? A jeśli odpowiadać to czy koniecznie wyczerpująco i ostatecznie? Osobiście nie widzę powodów do pobicia pisarzowi zarzutu o tego, że postawiwszy problem nie zdołał czy na nawet nie pokusił się o jego rozwiązanie. Przeciwnie: skłonny jestem widzieć przejaw pewnej sily w umiejętności rozbudzenia tęsknoty poznawczej, a przejaw wielkiej kultury w dyskrekcji, nie pozwalającej narzucać tej tęsknocie określonych form realizacji, wskazującej jedynie ogólny kierunek dążenia. Wreszcie po trzecie, — postawiwszy autorowi „Ręki Ojca” zarzut o wierzchołkowości, zarzut sztuczności tej wypowiedzi komentarza, należało argumentatywnie wykazać, że układ sytuacji nie tłumaczy domyslniej intencji dzieła, że rzeczywiście tylko komentarz ją wyjaśnia, tylko ks. Bazyl ją wyraża. Recenzentka „Tygodnika Powszechnego” takiej operacji nie dokonała. Taka operacja jednak dałaby ciekawe wyniki, które może uda się przedstawić w dalszym ciągu tego artykułu. W jego wstępnej części, która ma stworzyć punkt wyjścia dla badania, chcąc uniknąć błędów poprzedników, jeszcze jednej kwestii chociaż dotknąć

Pierwszy Maj

Dzień 1 maja jest tradycyjnym świętem ruchów politycznych, opartych o ideologię marksizmu. Dzień 1 maja jest zarazem świętem pracy ludzi całego świata.

Światopogląd chrześcijański w oparciu o zasadę miłości bliźniego stawia na właściwym miejscu pracę i człowieka ją wykonującego. Praca w ujęciu chrześcijańskim wywyższa człowieka i zbliża go do Boga.

Dzień 1 maja święto świata pracy jest dniem bilansu i nowej mobilizacji tych wszystkich, którzy pragną przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego. Uważamy, że jest to dzień ważny, bo jesteśmy zwolennikami ustroju, opartego o pracę, a nie o kapitał. Właśnie pogląd na pracę może być czynnikiem wiążącym nas ze świętem 1 maja.

Święcimy ten dzień, manifestując tym naszą troskę o człowieka pracy, o wszechstronny wolny rozwój jego osobowości.

^{*)} Wojciech Zukrowski: Ręka Ojca, powieść, wyd.: „Avir”, Warszawa 1949 r., str. 228.

należy Zofia Starowiejska - Morstino-wa nie może Zukrowskiemu wybaczyć „przejaskrawienia erotycznego”. Według niej „w kreślonym przez Zukrowskiego życiu zmysłowość wybija się na plan pierwszy. Element ten jest stanowczo — nawet jeśli chodzi o realistyczne proporcje życia — przerysowany”. To jest wrażenie recenzentki. Za jego obiektywną słuszością nie przemawia żaden argument. Recenzentka mogłaby uznać swój osąd za stwierdzenie faktycznego stanu rzeczy, gdyby — po pierwsze — wykazała, że sygnalizowane przez autora przeżycia erotyczne bohaterów mają na nich wpływ zasadniczy, ważniejszy od innych czynników i — po drugie — gdyby poprzez analizę stylu wykazała intensyfikację jego plastyki w opisach scen erotycznych. I w pierwszym i w drugim wypadku doznałaby zawodu. Bohaterowie Zukrowskiego nigdy nie przeżywają spraw erotycznych pierwszoplanowo, nigdy seks nie determinuje ich postępowania, co łatwo stwierdzić choćby w „Ręce Ojca” obserwując Tadeusza, który zapomina o powabach Celki i Irci, gdy zostaje poręcznikiem Milicji Obywatelskiej. Język opisu u Zukrowskiego w całości utworu jest pełen zmysłowej (w sensie fizycznej wrażliwości, a nie nadwrażliwości erotycznej) czujności, pełen realiów, a w scenach erotycznych wydawać się może drastyczny tylko w konfrontacji z firanczkowymi tradycjami literackimi. Analiza tej właściwości języka Zukrowskiego, projektowana jako jedna z istotniejszych części tego artykułu, może stworzyć więcej obiektywnych przesłanek dla rozwiania tworzącego się mitu „przejaskrawienia erotycznego” Zukrowskiego.

Tyle jeśli chodzi o refleksje nasuwające się pod wpływem lektury świetnej recenzji w „Tygodniku Powszechnym”. Obydwa omówione artykuły wskazują jedno niebezpieczeństwo i zachęcają do przyjęcia jednego założenia metodologicznego. Niebezpieczeństwem tym jest rozdzielenie kontaktu z tekstem, zlekocważenie pilniejszej analizy formalnej, pośpieszne i nieargumentatywne generalizowanie wniosków. Zalecanym założeniem metodologicznym jest doszukiwanie się w obiektywnej wymowie środków artystycznych pełnego znaczenia i sensu dzieła artystycznego. Te wnioski, mające stanowić pomoc w znalezieniu właściwej drogi do poznania utworu usprawiedliwiają wstępna część polemicznego artykułu i mają kierować jego dalszymi wywodami.

Zacznijmy je od przypomnienia jednego z początkowych zdań artykułu: powieść Zukrowskiego jest próbą realizmu. Naszym dążeniem jest udzielenie możliwie gruntownej odpowiedzi na pytanie, jak wypadła ta próba. Operacje krytyczne, mające stworzyć przesłanki do znalezienia odpowiedzi, przeprowadzamy w oparciu o określone założenia. Pierwsze z nich brzmi: realizm w literaturze sprowadza się do zgodności zespołu przedstawień dzieła z rzeczywistością, której odbicie dzieło ma stanowić. (Przez „zespół przedstawień” rozumiemy całokształt objętych przez dzieło zjawisk i stosunków, jakie między nimi zachodzą). Ponieważ rzeczywistość określa się w nierozdzielnej łączności ze światopoglądem, ponieważ struktura światopoglądu determinuje sposób rozumienia rzeczywistości: realizm — to drugie założenie — jest w literaturze możliwie pełnym, niesfałszowanym żadną deformacją, maksymalnie — w ramach wyznawanego światopoglądu — obiektywizowanym sądem o rzeczywistości. To truizm. Ale truizmy to niegrzeczne prawdy postawione do kąta za to, że nie pozwalają łowić ryb w mętnej wodzie. Z truizmów powyżej przytoczonych wynika, że — to trzecie założenie — o realizmie nie można mówić bezprzymiotnikowo, trzeba — zależnie od typu dzieła, a raczej zależnie od reprezentowanego przez to dzieło światopoglądu — mówić o realizmie socjalistycznym, katolickim, czy innym. Tylko wtedy możemy sprawdzić wewnętrzną logikę, wewnętrzną prawdę utworu. To nie wy-

klucza dyskusji z jej konsekwencjami światopoglądowymi, ale pozwala sprawdzić obiektywnie poprawność organizacji artystycznej materiału.

Naszym zdaniem najpełniejszym realizmem jest realizm katolicki, wymagający od dzieła literackiego uwzględnienia obydwu porządków zjawisk, przyrodzonego i nadprzyrodzonego, wymagający ukazania spraw ludzkich, w tej relacji, jaka wynika z teologicznej koncepcji człowieka. Tłumaczy to nasza postawa światopoglądowa.

Te wymagania stawiamy pisarzom katolickim. Inni pisarze nie mają obowiązku troszczyć się o nie, co — oczywiście — nie wyklucza możliwości, że — podświadomie — grzesząc niekonsekwencją wobec własnego światopoglądu — nie jeden postulat realizmu katolickiego spełniają.

Ze stwierdzenia, że nie ma realizmu bezideowego, (które słusznie przeciwstawiła Zofia Starowiejska - Morstino-wa wywodom Stefana Kisielewskiego, por. 199 i 200 nr „Tyg. Powsz.”) i z konsekwencji tego stwierdzenia, nakazującej oceniać wartość realizmu w ramach determinującego go światopoglądu, nie wynika jednak, że nie ma zagadnień, które mogą stać się przedmiotem obiektywnej dyskusji i doprowadzić do wspólnych wyników nawet ludzi różnych stanowisk światopoglądowych. Dostarcza ich bardzo dużo powieść realistyczna.

Wszyscy chyba mogą się zgodzić na to, że już sama konstrukcja powieści nastrecza duże trudności w realizowaniu najogólniejszego postulatu realizmu, który tu — dla wyrazistości — sformułujemy negatywnie, jako dążność do zatarcia różnic między rzeczywistością, a mającą ją odbijać fikcją literacką. Powieść, obejmując szereg zjawisk czasowo — przestrzennych, w fikcyjny sposób łączy je poprzez różnego rodzaju skrót, przeskakiwanie ogniw, kondensowanie czasu i przestrzeni. Ujęcie tematu redukujące element fikcji w zakresie zjawisk czasowo — przestrzennych będzie zasługą realistycznej konstrukcji powieściowej. Im mniejszy sztuczność w łączeniu tego typu zjawisk tym większa zasługa pisarza.

Zukrowski problem ten rozwiązał w bardzo ciekawy sposób. Akcję powieści zamknął w ramach około czterdziestu godzin. Uniknął w ten sposób konieczności stosowania skrótów, nie potrzebuje przeskakiwać ogniw następstwa chronologicznego wydarzeń, nie ma w jego relacji „pustych godzin”, „zagubionych dni”, nie ma fikcyjnego czasu powieści, który skracając miesiąc do godziny pozwala czytelnikowi wierzyć, że to wszystko dzieje się „na niby”. W „Ręce Ojca” obserwujemy każdego niemal bohatera, w każdej niemal godzinie przedstawionej akcji, mogliśmy sporządzić spis zajęć, czynności, kolejnych zachowań się w toku powieści. Elementy czasowe zespolone są z sobą w zwartą całość, nie ma żadnych luk, żadnych zdań zamykających kilka lat, miesięcy, tygodni, czy godzin nawet w sztucznie łączącej ogniwa chronologiczne relacji. Każda godzina jest wypełniona dziejącymi się w niej wydarzeniami. Takie osadzenie konstrukcji powieściowej w czasie usuwa z niej element fikcji wynikły z tworzenia sztucznych godzin, czy dni w atworach o szerszej rozpiętości.

Podobnie jest z elementami przestrzennymi. Kiedy w powieści kończą jeden rozdział, a zaczynają drugi, obserwujemy przeniesienie akcji z Warszawy do Paryża, czy choćby z Małej Wólki do Dużej Wólki, podróż tę odbywamy kosztem zwiększenia poczucia fikcji literackiej. Czujemy sztuczne przeniesienie kamery obserwacyjnej z jednego punktu w drugi. Zmniejsza się to poczucie, gdy podróż odbywamy z jednym z bohaterów, ale nigdy nie znika, choć może nie zawsze tkwi wyraźnie w naszej świadomości. Już nie wiado mo, czy nie było konsekwentniejsze konferenciarstwo dawnych autorów, którzy dobrodusznie informowali: „a te-

raz, drogi czytelniku, pójdziemy za naszym bohaterem do kawiarni...”

Zukrowski skoncentrował akcję w w jednym miejscu, unikając (z wyjątkiem jednej tylko wyprawy Łucji) sztucznego taskania kamery obserwacyjnej z miejsca na miejsce. Jeśli musi się ta kamera przesuwać w obrębie koncentrującej całą akcję zamku, czy jego najbliższej okolicy, to przesuwa się na idealnie naoliwionych kółkach, kierowana ręką świetnego technika. W porównaniu tym chodzi o przypomnienie doskonałej mechaniki przejeżdżającej w powieści Zukrowskiego sprawnie i w większości wypadków niezawodnie. Kiedy autor z gabinetu Nohorayskiego chce się przenieść do izb, w których układają się do snu przygarnięte pod jego dach sieroty, podchwytuje uchem swego bohatera wieczorną pieśń modlitewną śpiewaną dziecięcymi głoskami i — zostawiając sędziego w jego gabinecie — przechodzi za usłyszaną melodią ku sierocińcowi (str. 16). Kiedy chce się rozstać z ks. Bazylim, a przejeżdża ku ścisnącej się na stryżku parce, uchwyci okiem swego bohatera kota przebiegającego korytarz i wdrapującego się ku górze. Książd pójdzie swoją drogą, a autor — za kotem — do Celinki i Tacka (str. 22). Itp. Te chwytby spajają nawet niezbyt odległe elementy przestrzenne w realnie uchwytnej całość, pozwalają nie dostrzegać koniecznej w dziele literackim sztuczności, zmniejszają poczucie fikcji literackiej do minimum, potęgują tym samym siłę ekspresji realistycznej.

Tę zwycięską walkę z antyrealistycznymi oporami konstrukcji powieściowej uznać należy, niezależnie od reprezentowanego światopoglądu za osiągnięcie. Bo w każdym realizmie nacelną zasadą jest dążenie do postawienia znaku równości między przedstawianą a przedstawioną rzeczywistością między rzeczywistością pozaliteracką, a jej kształtem literackim. A omówione wyżej rozwiązanie przez Zukrowskiego problemu elementów czasowo-przestrzennych w powieści pomaga w realizacji takich dążeń.

Drugim punktem, co do którego — również niezależnie od postawy światopoglądowej — wszyscy mogą i powinni się zgodzić, jest problem komentarza autorskiego w dziele realistycznym. Autor — nie mogąc nie mieć wpływu na oleg przedstawianych przez siebie wydarzenia — ma obowiązek zrobić wszystko, aby motywacja była jasna i w ramach dzieła logiczna. Zacieśniając ten problem do problemu prawdziwości postaci, których stosunek do siebie i zachodzących wydarzeń powinien być wytłumaczony wewnętrzną logiką dzieła, postawimy musimy przed każdym pisarzem postulat nagromadzenia dostatecznej ilości przesłanek, określających charakter bohaterów. Najmiarodajniejszymi przesłankami są fakty. A więc: charakteryzowanie postaci poprzez ich zachowanie się wobec poszczególnych zjawisk, behavioryzm. (Dla uniknięcia nieporozumień warto wtrącić, że to nie jest postulat rozwiązujący zagadnienie prawdy, realizmu postaci książkowych. Jest to punkt wyjścia, a nie dojścia. Zławsza, jeśli chodzi o wymagania realizmu katolickiego, behavioryzm stanowi tylko jeden z warunków realistycznego opisu).

Zukrowski pamiętał o tym. Każda z jego postaci określa się swoją postępowaniem wyrażoną właściwością charakterystyczną, każda z postaci rysuje się na konkretnym tle faktu. Mało tego. Dla uwyraźnienia różnic i uniknięcia nieporozumień Zukrowski ten sam fakt czyni probiezmem, określeniem postępowania. Gdy Łucja w przeddzień ataku żołnierzy sowieckich wyjeżdża do miasta, Nohorayski myśli o tym, aby prawnie nie był odpowiedzialny za ewentualne przyłapanie w nocnej przeprawie swojego woźnicy, który nie ma papierów, pozwalających mu przekraczać godzinę policyjną, Celinka prosi wyjeżdżającą o załatwienie sprawy konspiracyjnej, Rataczykowa o przywiezienie córki, a pani Zeidlerowa o odebranie jedwabnych pończoch z ce-

rowni. Tak jest w innych wypadkach z innymi postaciami powieści. Ale Zukrowski nie ogranicza się do behavioryzmu. Dla możliwie pełnego obrazu człowieka niezbędna jest analiza psychologiczna. I tu jednak wybrał autor „Ręki Ojca” najobiektywniej uargumentowaną postawę wobec swoich postaci: każe im się odcyfrowywać w autoanalizie. Zachowana zostaje w ten sposób wewnętrzna logika dzieła realistycznego, autor powstrzymuje się od subiektywnego komentarza, a jednocześnie nie pogłębia swoich bohaterów, których zewnętrzność nie mogła wypowiedzieć bez reszty.

Trzecim zagadnieniem, które może i powinno znaleźć jednakowe rozwiązanie, chociaż z różnych stanowisk można do niego podchodzić, jest zagadnienie języka powieści realistycznej. Zagadnienie to sprowadza się do zrozumienia chyba dla wszystkich realistów postulatu ustalenia między percepcją zjawisk, a jej wyrażaniem stosunku adekwatności. Nie można jednak dążyć do tego, ani przez syntetyzowanie wrażeń, bo wtedy zwiększa się stopień subiektywnej dowolności, ani przez abstrakcyjne ich wartościowanie, bo stopień subiektywizacji rośnie wtedy jeszcze bardziej, ale przez analityczne i wieloaspektowe stenografowanie doznań wytłumaczonych w każdej określonej sytuacji, określonym zespołem warunków. (Tu znowu nawiasowa uwaga: mówimy o punkcie wyjścia, a nie dojścia, o minimalnych, a nie maksymalnych wymogach, o postulatach wspólnych wszystkim rozumieniom realizmu. Realizm katolicki wymagać będzie, aby język utworu — spełniając wszelkie swoje obowiązki adekwatnego opisanie zewnętrzności, wskazał istnienie zjawisk, które się w tej zewnętrzności nie mieszczą).

Wydaje się, że język Zukrowskiego jest dowodem zrozumienia takich postulatów. Jego relacja rzeczywistości nie ogranicza się do spostrzeżeń wzrokowych. Światła, cienie, barwy, linie, kształty nie określają jeszcze całego zjawiska. Zukrowski kontaktuje się z nim za pośrednictwem wszystkich zmysłów. Jego rejestracja zewnętrzności obejmuje doznania słuchowe, (co jeszcze nie jest rzadkością), z bogactwem się o wrażliwość dotyku, smaku, powonienia. Oto kilka przykładów rejestracji jednej sfery doznań.

„Sędzia Nohorayski pamięta zapach natłoczonego wnętrza, woń rozgrzanego lakieru, wydechu spalin...” (str. 13), „zapachniało leśnym ogniskiem i smolarnią” (str. 16), w izbie „pachniało dziecięcym potem i zruszoną słomą” (str. 18), „zapach jej pudru długo trzymał się w miesistych nozdrzach księdza, drażnił i niepokoił” (str. 20), „pachniało mrozem” (str. 39), Julka „pachniała ostro ciepłym łajnem, krowią sierścią” (str. 33), „palce miały zapach mosiężnych szalek wapi” (str. 31), „pokój pachnący mokrym murem i drzewem” (str. 41), Walerec „pachniało nagrzaną pierzyną, kotem i jabłkami” (str. 41), Jan „z daleka już łapał nosem ostry aromat stajenny” (str. 45), derka „pachnąca ostro końskim potem” (str. 49), „zapachu młodego, rozgrzanego ciała nie tłumila nawet woń lichego mydła” (str. 51), powietrze było „pełne woni zmarzniętego igliwia” (str. 60), „buchnęło wilgotną wonią starych kamieni”, „pachniało mokrym wapnem” (str. 63), ks. Bazylemu „brakowało... zapachu korzennego” (str. 85), „siano pachniało strychem i zdeptaną, wrześnieową trawą szkolnego boiska” (str. 135), Tadek „wdechował znajomą woń machorki, zleżałych koźców i zmarzniętego sukna” (str. 152), żołnierze „po sanym zapachu tranu, jakim miał natarte buty, poznawali Niemca” (str. 155)!

Podobną porcję wybranych przykładów można by przytoczyć i dla wykazania równej wrażliwości doznań słuchowych, dotykowych, smakowych, o wzrokowych już nie mówiąc nawet! A wyliczenie powyższe podałem nie po to, aby zrobić uwyszypłiwa uwagę, że dziw-

nie czule nosy mieli bohaterowie „Ręki Ojca”, zwłaszcza w styczniu, kiedy tak łatwo nabawić się kataru, ale po to, aby zilustrować intensywność realiów w języku omawianej powieści. Oczywiście, realia to jeszcze nie realizm. Ale język tak nasycony siłą ich ekspresji to jeden z najważniejszych elementów w arsenale realistycznych środków artystycznych. Arsenal ten z bogactwem jeszcze tzw. realia sytuacyjne. Wyjaśniamy przykładem, co przez ten termin rozumiemy.

Bezręki Włodzio opowiada: „— Wiesz, jak nas napadli Ukraińcy, kazali mi położyć ręce na lawie i ciup, ciup siekiera... A potem jeden złapał matusię i przycisnął kolanem piersi, a drugi odchylił jej głowę, jak cielakowi i do gardła...” (str. 54).

Kilka stron dalej Walerka „już miała wejść do łóżka, kiedy nagle powstała lampę na ziemi, wpuściła światło pod koszulę wzdętą jasnym dzwonem. Zajrzała sobie między pełne piersi. Zapuszczyła wreszcie rękę głęboko i złażała pchłę. Długo ją gniołła palcami, jeszcze dla pewności wrzuciła w płomień lampy. Obficie połiniła pogryzione miejsce” (str. 57).

Pozornie relacje tego typu wydawać się mogą naturalistyczną manierą „makabryzmu” i „skandalizmu” (co zwolennicy takiej tezy mogliby argumentować dosyć pokąźną liczbą analogii z Zolą, scenami z „Germinalu”, czy „Kłeski”), ale w kontekście „Ręki Ojca” są to wyniki maksymalnej obiektywizacji przedmiotu. Wystarczy porównać z przytoczonymi przykładami opis zaprzęgnięcia konia do sań (na str. 46), aby stwierdzić, że nie żadne kompleksy, ale ambicja pełnego, wiernego odtwarzania fragmentu rzeczywistości tłumaczy rzekomo zbędną i rzekomo drażliwą pedanterię relacji.

Konsekwentne operowanie językiem realiów i sytuacji tego typu stwarza w książce klimat obcy wszelkiej sztuczności, a stworzenie takiego klimatu, atmosfera bezwzględnej przekonania w prawdziwość relacjonowanych wydarzeń ma okazać się niezbędną i ma odegrać zasadniczą rolę w postawieniu zasadniczego problemu, w wyjaśnieniu zasadniczej koncepcji utworu, wyrażonej jego tytułem.

Tu opuszczamy teren obserwacji, na którym mogli i powinni dojść do wspólnego wyniku wszyscy czytelnicy, bez względu na przekonania i różnice światopoglądowe, a wkraczamy w dziedzinę zagadnień dających się dyskutować jedynie w oparciu o przesłanki światopoglądu katolickiego.

Koncepcja „Ręki Ojca” wynika z postulatów realizmu katolickiego: wskazuje istnienie dwóch porządków zjawisk i ukazuje w ich wzajemnym stosunku los ludzki, uzależniony od obydwu tych porządków, chociaż nie od obydwu w jednakowy sposób i w jednakowej mierze. Bezpośrednią eksplicacją tej koncepcji są wypowiedzi księdza Bazylego (str. 75 i str. 219). Pośrednią, najistotniejszą i najbardziej ważką, formą wyłożenia tej koncepcji jest układ sytuacji, przebieg wydarzeń. W tym układzie wydarzeń koncepcja została przedstawiona w stanie negatywnym, na język pozytywnych stwierdzeń tłumaczy ją ks. Bazyl.

Kulminantę układu wydarzeń stanowi śmierć młodej dziewczynki, ukonanej przez matkę i kochającej matkę najszczerzą miłością do gruntu dobrego serca. Dziewczynka ginie od odłamka pocisku. Niewinna, dobra, kochana, kochająca. Dlaczego?

„Wszystko, co nas spotyka, dzieje się dla naszego dobra. Często wydaje się, że los wydziera nam to, co mieliśmy najcenniejszego, najbliższego sercu. Zaufajmy tej Ręce, odbiera tylko to, co mogłoby nam przesłaniać cel ostateczny, daje wszystko, co będzie nam na drodze do zbawienia niezbędne” (str. 79). To jak gdyby antycypacja odpowiedzi, wytłumaczenie ks. Bazylego.

Tadeusz Mazowiecki

Samowiedomość społeczna inteligenta ⁽²⁾

IV

Kwalifikowanie pewnych dziedzin działalności ludzkiej do pracy umysłowej, innych do pracy fizycznej nie opiera się tylko na rzeczywistym ich rozróżnieniu, ale ma na ture umowną. Między bowiem stosunkowo skromną ilością rodzajów pracy, którą można by zaliczyć do pracy czysto — umysłowej, a z drugiej strony do pracy czysto — fizycznej istnieje cała skomplikowana gama różnych rodzajów działalności ludzkiej, które tylko drogą konwencjonalną zalicza się w tym lub tam tym kierunku. Nie na podstawie stopnia zaangażowania intelektu w wykonywaną pracę, ale według umownych zasad podziału zalicza się dziś, przykładowo biorąc, pracę inteligentnego robotnika fabrycznego obsługującego skomplikowaną i zmuszającą do szalonego wkładu myślowego maszynę produkcyjną — do pracy fizycznej, a pracę maszynistki biurowej do pracy umysłowej.

Zwracając tylko ubocznie uwagę na problem konwencjonalności tego rozdziału chcemy jedynie podkreślić, że w rzeczywistości zagadnienie jest daleko bardziej skomplikowane.

W naszych rozważaniach musimy przede wszystkim zwrócić uwagę na inną sprawę. Chodzi tu o proces zmniejszania się dystansu między pracą umysłową, a pracą fizyczną człowieka. Rozwój techniki przy czynia się do uwalniania człowieka od spełniania czynności najbardziej uciążliwych fizycznie. Oczywiście pozbawienie człowieka wszystkich najbardziej przykrych i najcięższych fizycznie czynności na długi czas pozostawia jeszcze będzie w sferze postulatów stawianych technice. Niemniej jednak w historycznej ewolucji dokonało się na tym polu już bardzo wiele. Z drugiej strony, co jest może jeszcze ważniejsze, dokonuje się stale intelektualizacja pracy fizycznej. Przez intelektualizację pracy fizycznej rozumiemy wzrost znaczenia intelektu w wykonywaniu pracy fizycznej. Zwiększanie się stopnia zaangażowania umysłu w pracę fizyczną jest faktem. Praca robotnika fabrycznego przy skomplikowanej maszynie czy maszynowa uprawa roli dokonywana przez rolnika — zmusza go do większego wysiłku myślowego i żąda wyższej kultury umysłowej niż wykonywanie analogicznych czynności w sposób bardziej prymitywny.

Spotykamy się często z twierdzeniem, że rozwój techniki pozbawia nieraz człowieka udziału własnej osobowości w wykonywaniu pracy, a tym samym hamuje jego wewnętrzny rozwój. Oczywiście, że nie bezpieczeństwa te istnieją. Jest zadaniem zdrowej organizacji współżycia zbiorowego je przezwyć, zapinając harmonię indywidualnych twórczych możliwości człowieka z zastosowaniem zdobyczy techniki. Obok kolosalnego znaczenia postępu technicznego dla rozwoju cywilizacji, a więc stwarzania coraz lepszych warunków cywilizacyjnych dla życia jednostki, nie na leży zapominać także i o tym, że powodowany przez rozwój techniki wzrost stopnia zaangażowania intelektu w wykonywaną pracę przyczynia się też do rozwoju ludzkiej osobowości.

Omówiony wyżej proces intelektualizacji pracy fizycznej zmniejsza dystans między pracą umysłową, a pracą fizyczną człowieka. Z drugiej strony zmniejsza go także co-

raz bardziej bezpośrednio zainteresowanie się umysłu ludzkiego procesami codziennego życia. Chodzi tu o fakt bezpośredniego czerpania natchnienia i tematyki dla dociekań naukowych z procesów życiowych i o bezpośrednio stosowanie wyników nauki w życiu. Fakt ten nie należy tylko do zakresu dociekań czysto naukowych, ale znamionuje całą dzisiejszą twórczość kulturalną.

Obydwa te czynniki wpływają i nadal będą wpływać na zmniejszanie się rozpiętości pomiędzy pracą umysłową a pracą fizyczną człowieka. Stąd też absolutny rozdział pracy fizycznej od pracy umysłowej staje się coraz bardziej anachronizmem kwalifikując różnicowanie społeczne w sposób bezwzględny na tym rozdziale się opierające na przeniesieniu do lamusa historii.

Obok zacierania się absolutnego rozdziału pomiędzy pracą umysłową a pracą fizyczną na zmianę pozycji inteligenta w nowoczesnym społeczeństwie wpływa i zgodnie z prawidłowością rozwojową wpływać coraz bardziej będzie proces całkowania społecznego zmierzający w kierunku wykształcenia się społeczeństwa bezklasowego.

Przez proces społeczny całkowania rozumiemy różnorodny co do form i nasilenia proces uniwiersalizacji czyli upowszechnienia równości społecznej i związanej z tym konsolidacji wewnętrznie — społecznej.

W rozumieniu tego procesu jak najdalej jesteśmy od solidarystycznego zakładania a priori istnienia harmonii społecznej¹⁾. Przeciwnie podkreślając różnorodność form i nasilenia rozumiemy go jako proces odbywający się nie bez tarć i walk, historycznie zaś biorąc jego przejawy widzimy zarówno w prze-

¹⁾ Sprawa ta została ostatnio omówiona przez W. Kętrzyńskiego w 11(173) numerze „Dziś i Jutro” w artykule „Milujcie nieprzyjaciół Wasze”.

obrażeniach ewolucyjnych jak i w gwałtownych przemianach rewolucyjnych. Przykładem faktycznego istnienia tego procesu mogą być za równo przeobrażenia wsi polskiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego scharakteryzowane w „Młodym Pokoleniu Chłopów” jako przejście od zamkniętej społeczności wioskowej do szerszej społeczności narodowo — państwowej, jak też i fakt emancypacji społecznej klasy robotniczej. Rozumiemy go bowiem w sensie społecznego wyzwolenia się warstw, czy klas obejmujących dominantę społeczeństwa i przejmowania przez nie odpowiedzialności za całość społeczną, słowem przejmowania przez nie roli decydującej w stosunkach społecznych, roli zarezerwowanej dotąd dla wyizolowanych warstw elitarnych.

Bezsporny już na ogół dziś fakt posiadania przez masy pracujące, a przede wszystkim przez klasę robotniczą naturalnych predispozycji społecznych nakreśla tendencję rozwojową tego procesu. Nie jest to bowiem całkowanie na poziomie jednej grupy wewnątrz jednej warstwy, poza którą pozostawać by miały na peryferiach życia społecznego niewyzwolone dotąd z niżej społecznego i kulturalnego warstwy upośledzone. Jest to proces konsolidacji ogólnospołecznej zmierzający w różnych formach i z różnym nasileniem w kierunku wykształcenia się społeczeństwa pozbawionego hierarchicznego różnicowania klasowego.

Zrozumienie tych tendencji rozwojowych wydaje się nam dla problemu samowiedomości społecznej inteligenta niezwykle istotne. Dlatego poświęcimy im nieco więcej uwagi.

Wokół zagadnienia społeczeństwa bezklasowego nagromadziło się mnóstwo nieporozumień dowodzących o emocjonalnym, pozbawionym trzeźwości traktowaniu tego problemu. Na jednym biegunie stoi tu przyznawanie temu przyszłemu społeczeństwu właściwości ab-

solutnego raju, pozbawionego jakichkolwiek różnicowań i tarć społecznych, na drugim zaś sprzecznie nie całego problemu do rządu nierealnych, a nawet szkodliwych utopii. Zagadnienie jest jednak daleko bardziej skomplikowane.

Charakter społeczeństwa klasowego różnicowanego określony jest przez istnienie mniej lub bardziej antagonistycznych klas społecznych. Klasy społeczne — według określenia St. Rychlińskiego²⁾ są to wielkie zbiorowości ludnościowe oparte o jednolity co do swoich zasad system gospodarowania, który stwarza specjalny układ przywilejów albo wyzucia z przywilejów. Ks. Mirek w swoim „Zarysie Socjologii”³⁾ podkreśla, iż każda grupa społeczna istnieje tylko o tyle, o ile wyodrębnia się sama, głównie zaś więz klasową upatruje we wspólnocie celów. W naszym rozumieniu te dwa poglądy nie są przeciwstawne, ale się uzupełniają. Podstawowym czynnikiem wyodrębniającym klasy społeczne jest czynnik ekonomiczny, który stwarza wspólnotę celów. Wspólnota ta w klasowo różnicowanym społeczeństwie nie jest wspólnotą ogólnospołeczną, ale wspólnotą poszczególnych klas, co stwarza tym samym podstawę do antagonizmów międzyklasowych. „Według określenia prawniczego — podaje Henryk Piętko⁴⁾ różnicowanie sta nowo opiera się na różnicy prawnej, gdy przynależność klasowa ma charakter faktyczny opierający się na różnicy majątkowej i kulturalnej, a istniejący w granicach formalnego zrównania wszystkich wobec prawa”.

Społeczeństwo klasowe jest więc społeczeństwem faktycznie różnicowanym, zhierarchizowanym piono-

²⁾ St. Rychliński — „Warstwy społeczne”. Przegląd Socjologiczny tom VIII. Łódź 1946.

³⁾ Ks. Fr. Mirek „Zarys Socjologii”, Lublin 1948.

⁴⁾ H. Piętko — „Teoria prawa cz. 1. Socjologia”, Warszawa 1947.

nowo według przynależności klasowej wyznaczonej przez stosunek do dóbr produkcyjnych. Różnicowanie ekonomiczne wytwarza równie daleko idące różnicowania kulturalne. Jakkolwiek przy formalnej równości przepływ międzygrupowy jest możliwy, to jednak faktyczny nie przez skrepowanie ekonomiczne i kulturalne jest on bardzo niski, a ustalona pionowa gradacja społeczna hamuje naturalną selekcję społeczną. Wreszcie, co dla naszych rozważań jest szczególnie istotne, różnicowanie to wytwarza i wpływa na stabilizację postaw wyższości — niższości w bezpośrednich kontaktach społecznych.

Pełne wykształcenie się społeczeństwa bezklasowego oznacza — naszym zdaniem — spełnienie trzech podstawowych warunków. Są to: 1) usunięcie podstaw ekonomicznych podziału klasowego, 2) usunięcie pozostałości kulturalnych różnicowania klasowego, 3) oparcie współżycia zbiorowego na rzeczywistym nieskrepowanym ani formalnie, ani faktycznie wartościowaniu społecznym.

Warunkiem usunięcia podstaw ekonomicznych różnicowania klasowego jest socjalizacja środków produkcji. Samo jednak uspołecznienie środków produkcji nie stwarza od razu społeczeństwa bezklasowego pozostając jedynie niezbędnym fundamentem do dalszej jego krystalizacji. Obok bowiem krzywdzących nierówności ekonomicznych w społeczeństwie klasowym istnieją również krzywdzące nierówności kulturalne. Dlatego nie może być mowy o wykształceniu się społeczeństwa pozbawionego hierarchicznych różnicowań klasowych bez szeroko zakrojonego i jak najpełniej pojętego procesu upowszechnienia kultury, bez pełnego udostępnienia oświaty i unie zaleźnienia dostępu do wiedzy od materialnej sytuacji. Zdrowa organizacja współżycia zbiorowego w społeczeństwie pozbawionym pionowego różnicowania klasowego opręć się musi na nieskrepowanym wartościowaniu przy dokonywaniu społecznej selekcji na poszczególne funkcje społeczne. To wartościowanie uniemożliwiłoby wino grupową nienaruszalność elit kulturalnych, czy rządzących, zapobiegając ich społecznemu wyizolowaniu się przez stworzenie warunków swobodnych przepływów międzygrupowych.

Jeżeli mówimy, że proces całkowania społecznego niweluje pionowe, hierarchiczne różnicowania klasowe, to to wykluczenie hierarchii rozumiemy jako wykluczenie zamkniętej i nienaruszalnej hierarchii klas czy warstw, a nie wykluczenie koniecznej dla życia społecznego hierarchii administracyjno-organizacyjnej.

Oparcie współżycia zbiorowego na zasadach wykluczenia pionowych różnicowań klasowych nie należy też rozumieć jako wykluczenie wszelkich czynników różnicujących ludzi. St. Ossowski słusznie podkreśla, że podobnie jak w przyrodzie żywej, w życiu społecznym spotykamy jako stałe zjawisko współistnienie przeciwnych sobie procesów uniwiersalizacji i różnicowania. „Procesy uniwiersalizacji mają upowszechnić równość społeczną. Procesom różnicowania kultura ludzka zawdzięcza barwność i wszechstronność”⁵⁾. Fakt współ-

(dokończenie na str. 6)

⁵⁾ St. Ossowski. — „Ku nowym formom życia społecznego”, Warszawa 1947.

Naukowa i literacka nagroda EPISKOPATU POLSKIEGO

Episkopat Polski przeznaczył sumę jednego miliona złotych na nagrody naukową i literacką dla pisarzy polskich. Sąd konkursowy nagród literackich w osobach: J. E. Ks. Biskupa Prof. Dr. Michała Klepacza, Artura Górskiego, prof. Dr. Stanisława Pigionia, Prof. Dr. Juliusza Kleinera, Prof. Dr. Kazimierza Kumanieckiego i Prof. Dr. Konrada Górskiego pod przewodnictwem Prof. Dr. Stanisława Pigionia postanowił przyznać nagrody następującym pisarzom: Jerzemu Zawiejskiemu 250 tysięcy złotych za twórczość dramatyczną, Władysławowi Janowi Grabskiemu 150 tys. zł za twórczość powieściopisarską, Wojciechowi Bąkowi 150 tys. zł za twórczość poetycką, Księdzu Janowi Piwowarczykowi 150 tys. zł za twórczość publicystyczną i Jerzemu Kierstowi 50 tys. zł, jako nagrodę dla młodych twórców.

Sąd nagrody naukowej w osobach: J. E. Ks. Biskup Dr. Michał Klepacz, Artur Górski, Prof. Dr. Stanisław Pigoń, Prof. Dr. Juliusz Kleiner, Prof. Dr. Kazimierz Kumaniecki, pod przewodnictwem Prof. Dr. Stanisława Pigionia postanowił przyznać nagrodę naukową w sumie 250 tys. zł Prof. Dr. Konradowi Górskiemu za całokształt twórczości naukowej.

Posiedzenia obu sądów konkursowych odbyły się dn. 11 kwietnia 1949 r. w gmachu Kurii Biskupiej w Łodzi.

Wręczenie nagród odbyło się w Gnieźnie w dniu 24 kwietnia br.

Kapitan Niesiołowski, dowódca kompanii w jednym z prowincjonalnych pułków piechoty był to zdolny i obiecujący młody oficer. Lubiany i szanowany przez podwładnych, ceniony przez przełożonych, zawsze sprężysty, szybki, energiczny, a zarazem pogodny i opanowany — słowem wzór żołnierza, uosobienie żołnierskości. Do zawodu swego odnosił się z wielkim zamiłowaniem: traktował go nie tylko jako rzemiosło wojenne, nie tylko jako okazję do wykazania bohaterstwa i spartańskich cnót, ale także w samym zwyczajnym „dniu powszednim” wojska podczas pokoju upatrywał cechy doskonałości: w niezmiennym, precyzyjnym mechanizmie życia koszarowego, musztry, ćwiczeń, służb i regulaminów widział oznaki czegoś głębszego, jakiejś wewnętrznej niezmiennej harmonii, do której świadomie czy podświadomie dąży przeciw każdemu ludzkiemu psychiką. Kapitan Niesiołowski czuł się więc w wojsku doskonale — w swoim żywiole — oczywiście nie zapomniał jednak o tym, że wojsko, służba wojskowa są tylko wstępem, przygotowaniem do tego co je dopiero usprawiedliwia, co tłumaczy ich istnienie i nadaje temu istnieniu sens głębszy i patetyczny — do wojny. I oto chwila wielkiego egzaminu się zbliżała: wojna unosiła się w powietrzu rzucając swój cień na słoneczne polskie równiny. Całe lato 1939 pełne było przeczuć wojny — garnizon żył tylko myślą o niej, słysząc ją było w miarowym tupocie maszerujących na ćwiczenia kompanii, czaiła się na strzelnicach, czuła ją było w powietrzu w czasie długich godzin musztry na koszarowym dziedzińcu, jej dech przewiewał przez salę kasyna po spowzniętych nagle lub podnieconych twarzach oficerów. To była wojna — była już tuż, tuż, blisko — ich matka i pan!

W lipcu kapitan Niesiołowski otrzymał dwutygodniowy urlop — spędził go w Warszawie, w towarzystwie swojej narzeczonej — Wandy. Wanda była piękna, mądra dziewczyna: była efektywna i elegancka — gdy szli we dwoje po zalanych słońcem i tłumem ludzkim ulicach Warszawy, gdy wchodził do restauracji, kawiarni, kina lub teatru — kapitan Niesiołowski odczuwał mimowolne drgnięcie dumy — że taką piękną ma narzeczoną, że taka z nich dobrana i zakochana para. Przeczucie zbliżającej się wojny podnosiło jeszcze urok tego podniecającego urlopu — miasto oczekujące wojny, spojżenia ludzkie z nadzieją i miłością odprowadzały sprężystą, wysmukłą sylwetkę młodego oficera — oto jeden z tych, którzy pójdą w pierwszym szeregu, którzy na swoich barkach poniosą losy narodu. Niesiołowski czuł te spojżenia, rozumiał je — twarz mu poważniała, oczy rozjaśniały się blaskiem. Atmosfera zbliżającej się burzy nadawała tym ich narzeczeńskim dwu tygodniom tło patetyczne i fascynujące — a rozstanie było niezapomniane i wstrząsające, pomimo prostoty formy, bo kapitan Niesiołowski instynktownie unikał wszystkiego, co trąciło zewnętrzną teatralnością, lubił sposób bycia prosty i bezpretensjonalny, tolerował jedynie pewną teatralność munduru — rzecz związaną jednak nierozdzielnie z tradycją wojska i militarystką, a więc na pewno w jakiś sposób — mądrą, celową i potrzebną, tak jak mądre i celowe są kolorowe witraże, barwne ornaty i cały pozorzone zbyte jaskrawych przepych drugiej, również jak wojsko starej i głęboko w ludzkich instynktach zakorzenionej instytucji — kościoła.

Tak więc urlop skończył się — kapitan wrócił do pułku i do atmosfery oczekiwania, unoszącej się w kasynie, na poligonie, na dziedzińcu — wszędzie. Niedługo wypadki potwierdziły domysły, usprawiedliwiły stan mimowolnego niepokoju, wytłomaczyły wszystko z osłabiającą prostotą: w połowie sierpnia pułk przeniesiony został na pozycje — w Poznańskie, w pobliżu granicy niemieckiej; byli więc w pierwszej linii — dumni i niespokojni, niecierpliwi, żądni

walki, lecz przy tym rozważni i pracowici. Dwa tygodnie zeszyli jak chwila na przygotowaniach i umacnianiach; żyzne, wielkopolskie pola porożyto wnekami strzeleckimi i liniami okopów, ciężkie karabiny maszynowe stanęły ukryte wśród liści i wysokich traw, w zaroślach i krzakach, biedki amunicyjne czekały, zamaskowane pod drzewami, z tyłu, we wsiach pełno było wojska, broni, wozów, kręcących się oficerów; na kwadratach wieczorami pili wódkę i słuchali radia, połączeni jakimś nowym, silniejszym niż dotychczasowym nastrojem koleżeństwa i wspólności. Pamiętał ostatni, tajemniczy i urzekający wieczór, gdy tajne szyfry ze sztabu przyniosły wiadomość, że wojna jest pewna, jest nieunikniona. Widział w wyobraźni ostatni toast, rekę majora, podnoszącą w górę kieliszek, a potem roztopiającą się jak w operującym skrótami filmie wojennym — w ogłuszającym huku, trzasku, w ogniu i chaosie następnych dni.

1-go września rozpoczęły się nieustanne naloty na pozycje pułku, bombardowanie i ostrzeliwanie z karabinów maszynowych, ciężki, bezlitosny, posępny ogień artylerii; to było tylko — jak uczył regulamin — przygotowanie ogniowe do masowego natarcia czołgów, które nastąpiło po południu. Natarcie to zniweczyło ich pozycję niemal w mgnieniu oka — kompania Niesiołowskiego poszła w rozsypek — wszystko skłębilo się i zmieszało — znikła linia i kierunek frontu, kapitan z kilku ludźmi znalazł się nagle z tyłu atakujących czołgów niemieckich — dezorientacja i popłoch opanowały wszystkich, łączność nie istniała, rozkazów nie było — wojsko w ciągu paru godzin przestało być wojskiem. Niesiołowski i kilku jego kolegów próbowali coś zorganizować — przez myśli przebiegały im gorączkowe wspomnienia zdań regulaminu — odwód, druga linia, zaryglowanie — lecz usiłowania ich były jak próby powstrzymania palcem strumienia wody, tryskającego z gumowego węża, a regulamin — wydawało się — pisany był przez niedoświadczonego dziecka. Znikła nawet wszelka możliwość walki wręcz, czy choćby bohaterstwa — w tym zmechanizowanym, bezlitosnym i jakby pozabawionym polotu uderzeniu istniała tylko nieosobowa, przypadkowa śmierć od kuli czy granatu — opór? — przeciw komu, kiedy czołgi zniknęły już w kurzawie — po prostu przejechały po polskim wojsku — nie było ich już — ale nie było też kompanii, batalionów i pułków.

Niesiołowski półprzytomny i zachrypły od wykrzykiwania komend, których nikt nie słyszał ani nie rozumiał, znalazł się nagle zupełnie sam na brzegu wielkiej, gliniastej rozpadliny. Z daleka jechały jakieś auta, słyszał gardłowe niemieckie głosy, dolatujące z sinawej mgły wieczornej. Było, po wszystkim — jak się to stało? — przecież to niepojęte. Niby ranne zwierzę, szukające samotności kapitan ruszył przed siebie — nie niepokojony przez nikogo szedł w ciemność nocy wpatrzony w ziemię, omijał czerniejące trupy ludzi i koni, wyrwy i leje po pociskach, pozornie czujny i sprężysty, w istocie — bezduszny, nieobecny duchem automat. Tak szedł niemal do świtu, kiedy to bolesne wprost znużenie i głód kazały mu poszukać jakiegos schronienia. Bez namysłu wszedł do pierwszego z brzegu, samotnego domku. Dom był otwarty, ale opuszczony — zwykła sobie wiejska, jasna izba. Niesiołowski siadł czołgiem na ławie i automatycznie zaczął krajać i jeść leżący na stole chleb. Nagle chwycił go skurcz gardła i torsje — po chwili runął na łóżko twarzą w dół i zasnął snem ciężkim jak omdlenie.

W chacie tej spędził parę dni żywiąc się tylko chlebem. O jego życiu psychicznym z tego okresu trudno coś powiedzieć — było w stanie jakiegos paraliżu — zmaltretowany duch nie całkiem, zdawało się, zamieszkiwał w ciele, które straciło przez to pełnię swych normalnych, zmysłowych wra-

Stefan Kisielewski

zeń — jak aparat źle funkcjonujący z powodu słabego dopływu prądu. Trudno nawet orzec, czy Niesiołowski słyszał potężne grzmoty dział, które to zbliżały się, to oddalały, wstrząsając silniej lub słabiej oknami i drzwiami chałupy — w każdym razie nie reagował na nie najbliższym nawet drgnieniem. Mocno też wystraszył się pierwszy po szeregu dniach przybysz — jakiś niespokojny cywil — uchodźca, wędrowiec wojny, gdy wchodził do chałupy ujrzał wychudłą twarz, nieogoloną, dziwną brodę i niewidzące oczy kapitana. Lecz po pewnym czasie dogadali się: cywil opowiedział Niesiołowskiemu o sytuacji wojennej, o wielkiej bitwie pod Kutnem i o broniącej się Warszawie. To zelektryzowało kapitana — a więc wojna toczyła się normalnie dalej — tam było jego miejsce — w Warszawie lub koło Kutna, gdzie z pewnością dokonane zostały wielkie koncentracje wojsk, gdzie montowano przeciwuderzenie — przełamanie pierwszej linii nie dowodziło przecież jeszcze niczego — jak mogłem zmarnować tyle czasu — gorączkował się kapitan, wyciągając z futerału mapę. Decyzja jego była szybka — cywil zdołał go jednak namówić do przebrania się w znalezione w chałupie zwykłe, chłopskie ubranie — Niesiołowski zżymał się wprawdzie na to, ale rozsądek kazał mu przyznać, że pojawienie się na tyłach wojsk niemieckich samotnego kapitana w mundurze mogło wywołać fatalne skutki i z punktu przekreślić powodzenie wyprawy. Schował tylko do kieszeni kapoty swój ulubiony rewolwer i wyruszył, pozostawiając w chacie zmęczonego cywila.

Szedł dniami i nocami, jadł albo i nie, włókł się wśród gromad uchodźców, nocował w chałupach lub w polu, w stodolach, czasem wprost przy drodze; chował się przed Niemcami, za to kilkakrotnie próbował przylączyć się do napotykaných oddziałów polskich, co jednak z góry skazane było na niepowodzenie, wobec stanu, w jakim znajdowały się te oddziały. Bitwa pod Kutnem była skończona. Chaos, dezorientacja, brak dyscypliny panujące wśród żołnierzy rozbitych formacji głęboko raniły kult ład, precyzji i porządku, jaki w duszy kapitana wiązał się zawsze z umiłowaniem wojska; więc parę dni tylko wystarczało, aby doskonałą organizację zamienić w bezkształtną masę ludzką? Za wszelką cenę należało dotrzeć do jakiegos zachowanego jeszcze kierującego ośrodka porządku — ośrodkiem tym musiała być i mogła być tylko broniąca się dotąd bohaterka Warszawa. A więc — za wszelką cenę do Warszawy!

Myśl o Warszawie opętała kapitana, zastąpiła mu wszelkie inne myśli i pragnienia, zrobiła z niego dziwaczny automat do chodzenia. Wychudły, obdarty i blady ale z płonąym wzrokiem szedł uporczywie naprzód — polnymi drogami, szosami, ścieżką, naprzelaj, lasem, szedł równym albo pospiesznym krokiem, wymijał gromady takich jak on łazików, cywilów, żołnierzy bez broni, przechodził przez spalone wsie i miasteczka, nie zdawało się, nie widząc, obojętny na wszystko, co nie było ruchem naprzód — w stronę Warszawy. Nierzadko spotykał i oddziały niemieckie — zmotoryzowane tabory, wielkie auta, kuchnie, wozy cysterny i obce, niepojęte wojsko w niebieskawych mundurach, prawdziwe wojsko, kierowane żelazną dyscypliną i co ważniejszą, skwapliwą, gorliwą służbiście. Słyszał czasem jak maszerująca kolumna podawała do tyłu rozkaz ostrymi, gardlanymi lub wysokimi głosami — rozkaz pędził po szeregach jak prąd po drucie — szybko, ostro a do-

POWRÓT

(FILM)

kładnie, bez zawahań, namysłów czy zderzeń — byli jak jeden organizm, jedno wielogłowe ciało, jeden pomost ze stalowych helmów. Wojsko, prawdziwe wojsko — myślał kapitan, a usta wykrzykiwał mu gorzki grymas.

Niedaleko już Warszawy spotkała go wiadomość o kapitulacji stolicy. Wiadomość ta zdruzgotała jak wystrzał jego tak niedawno zmontowany mechanizm dążenia — teraz nie było już dokąd dążyć. Mimo to nie przestał iść, lecz nie był to już energiczny, skoncentrowany, pospieszny marsz naprzód — kapitan Niesiołowski włókł się teraz ciężko i powoli, stąpał wśród gromad wędrujących cywilów z twarzą bezmyślną i obojętną, automatycznie schodził z drogi przed niemieckimi samochodami, automatycznie chlapał supę czy zacierki z mlekiem w chłopskich chałupach, gdzie zatrzymywali się na noc. I równie bezmyślny, jak-oy coś z niego uciekało wszedł w gromadzie sobie podobnych do szerniałej, zniszczonej, zakrwawionej i brudnej Warszawy. Tu, na widok ruin i zgłiszczów, na widok zaśmieconych, zawalonych gruzem i szkłem ulic, wśród których tak niedawno jeszcze spędzał swój słoneczny, triumfalny urlop — kapitan opamiętał się nagle i w świadomości jego zjawilo się jedno imię, które zapewne tkwiło w nim cały czas, jak motyw przewodni jego wędrowki do Warszawy; imię — Wanda.

Z drżeniem w sercu skierował się do mieszkania narzeczonej. Dom stał nie naruszony; kapitan wszedł po zasypianych odłamkami szkla schodach i próbował zadzwonić — oczywiście bez rezultatu. Zaczął więc stukać — z początku lekko, później coraz mocniej. Wreszcie za drzwiami dało się słyszeć ciężkie chlapanie — to matka Wandy. Kto tam? — zapytał jakby zalekniomy, zgrzylił głos. — To ja — Niesiołowski — odpowiedział dzwicznie choć z lekkim drżeniem. Za drzwiami zapanowało milczenie, po długiej dopiero chwili, jakby namysłu czy wahań drzwi powoli zaczęły się otwierać. Stała w nich matka Wandy, twarz jej wyrażała zakłopotanie i niechęć, zaledwie zamaskowane grzecznościowym uśmiechem.

Później dopiero Niesiołowski zrozumiał, że pojawienie się jego w tym momencie w obłaziej przez Niemców jak trup przez robactwo Warszawie było dla rodziny Wandy kłopotliwe, ambasujące, wprost niemiłe i przykre; zamiast świetnego oficera i szczęśliwego narzeczonego zjawili się oto obdarty, zmaltretowany, brudny cywil, człowiek bez papierów i bez zawodu, po prostu ciężar i to ciężar niebezpieczny — ukrywający się zawodowy kapitan — po prostu kamień u szyi. To wszystko nie przyszło mu na razie na myśl, toteż ze zdumieniem patrzył w niechętną twarz przyszłej teściowej, tak zawsze miłej i uprzedzającej każde jego życzenie.

Pod wpływem jego wzroku matka Wandy jakby zmitygowała się nieco i wreszcie zaprosiła go do pokoju. Wandy nie było — był tylko jej dwunastoletni brat — ojciec ich, jakiś drobny urzędniczyna nie żył już parę lat. Niesiołowski usiadł sztywno na krześle; był brudny, głodny, zmęczony, ale nikt jakoś na to nie zwracał uwagi, nikt nie proponował mu aby się umył, czy posiłił — w pokoju zresztą panował niezwykły nieporządek. Matka Wandy była niechętna i małomówna — próby kapitana opowiedzenia swojej historii zbyła bagatelizującą uwagą, że historii takich zna dużo — wszystkie są jednakowe — a oni też przeżyli w Warszawie nie jedno. Kapitan zamilkł ura-

żony i speszony — cóżby to wszystko mogło znaczyć? Zapanowała chwila przykrej ciszy, którą przerwał dopiero zgrzyt klucza w zamku — to wracała Wanda. Stała w drzwiach, wysoka i piękna, choć blada i z podkrążonymi oczami — zdumionym wzrokiem objęła Niesiołowskiego, po chwili — czyżby mu się zdawało — zdziwienie jej zaczęło zmieniać się jakby w zniecierpliwienie, odrzę czy gniew. Kapitan nie wierzył oczom — zbliżył się do niej — lecz zamierzone przywitanie nie doszło do skutku — w ostatniej chwili uświadomił sobie, że jest nieogolony i brudny, że w cudzym, cywilnym, nieodpasowanym ubraniu wygląda śmiesznie, że od pięciu tygodni nie zmienił bielizny. Zamiast przywitać się z narzeczoną stanął przed nią jak winowajca — sprawca nieszczęścia.

Rozmowa nie kleiła się — usiedli przy stole i Niesiołowski znów próbował ująć w słowa istotę katastrofy, jaka w nich uderzyła, sam nie wiedział — opisać, wytłomaczyć, usprawiedliwić. Lecz Wandę to również nie interesowało — z niezwykłą łatwością widocznie ludzie ci pogodzili się z faktami, jakby z góry przewidywali, że piękne, dzielne, umiłowane polskie wojsko w parę tygodni zostanie rozgromione, a świetni oficerowie zamienią się w żałośne śmiesznych żebraków. Wandę i jej matkę interesowało jedynie co Niesiołowski ma zamiar z sobą zrobić, a spod zainteresowania tego wyraźnie przebiegała obawa, żeby kapitan „nie zwał im się na głowę”. Czyżby kochała nie mnie, a tylko moje stanowisko? — pomyślał Niesiołowski, czując, że wali się jedynie jeszcze oparcie psychiczne, jakie mu pozostało. Popadł w otepienie, w bezmyślną zadumę, z której wyrwał go dopiero historyczne głosy matki i córki: obie kobiety z przeżaniem wskazywały na jego marynarkę. — Chyba wesz — pomyślał Niesiołowski i spojrział; ale nie: przez dziurę w podszewce wysuwała się lufa rewolweru. — Więc coś z tego? Jakto? — Czy on nie wie co się dzieje w Warszawie? — Wczoraj w sąsiednim domu rozstrzelano kilkanaście osób za ukrywanie broni — wszelka broń miała być oddana w dniu kapitulacji — czy on o tym nie wie? — niech natychmiast idzie na ulicę — lecz przynajmniej parę ulic stąd i wrzuci broń do kanału — ale żeby go nikt nie widział. Niesiołowski próbował wytłomaczyć, że rewolwer można by schować narażenie gdzieś w domu, lecz obie kobiety uderzyły w ton takiego oburzenia, że zerwał się i bez słowa wybiegł na schody.

Szedł ulicą ze zwieszoną głową — mijaly go niemieckie patrole — chwila mi brała go ochota wyciągnąć rewolwer i zacząć strzelać do nich wściekły mi seriami — niech się dzieje co chce. Lecz nie zrobił tego — właściwie nie wiedział dlaczego, bo przecież choć rzem nie był a z życiem nie go już nie łączyło. Ale jednak szedł dalej — nagle przypomniał sobie, że trzeba jednak wrócić do Wandy, trzeba przeciwieństwu sytuację wyjaśnić — a więc przed tym trzeba się pozbyć rewolweru. Wrzucić go do kanału? — nie — był to przecież piękny, pamiątkowy rewolwer. Kapitan postanowił ukryć go w Parku Ujazdowskim, ruszył więc w tamtą stronę. Park otulony był falą przywiedle, jesiennej zieleni — pochylone drzewa przegłądały się w stawie, osamotnionym jakimś, bo nie pływały po nim już łabędzie. Po szumiących alejach parku spacerowało trochę ludzi i wszelkie próby ukrycia rewolweru kończyły się niepowodzeniem — wciąż jakieś ciekawe oczy śledziły Niesiołowskiego. Przyszło mu na myśl, że rewolwer źle

DO BRONI¹

OKUPACYJNY)

ukryty może się stać przyczyną nie-
szczęścia — patrol niemiecki zachod-
dził i tutaj. — Wrzucę go do stawu —
zadecydował w końcu. Lecz i to nie
było łatwe — dopiero po dłuższym spa-
cerze, na starym moście kapitan uchwycił
moment zupełnej samotności: wyjął
rowolwer z kieszeni i nie patrząc wrzu-
cił go do wody. Rozległ się miękki
plusk i broń zatoniła w szlamie — by-
ło tu płytko. Plusk ten odbił się w duszy
kapitana jak dźwięk grudy, ude-
rzającej o trumnę: po raz pierwszy od
czasów dzieciństwa słone, gorzkie lzy
napłynęły mu do oczu: jakaś starsza
pani przechodząca w tej chwili most-
kiem przenikliwym wzrokiem obrzuciła
obdartego, brudnego mężczyznę, ze
skurczem płaczu w nieogolonej twarzy.
Kapitan odwrócił się i zgarbiony po-
hulał w stronę bramy parku.

Automatycznie skierował się do
mieszkania Wandy. Tym razem przyję-
ło go nieco lepiej, a nawet zaproszono,
aby zanoctować, — miał spać na polo-
wym łóżku w przedpokoju. Braciszek
Wandy zaczął go pytać o wojnę —
Niesiolowski rozkrochmalił się nieco,
lecz Wanda i jej matka były jakies roz-
targnione, niespokojne — to pewno
skutki przebytego w Warszawie oblężenia
— pomyślał kapitan i zrobiło mu
się ich żal. Usypiał z niezłomnym po-
stawieniem ocalenia Wandy, uratowa-
nia jej przed depresją, przed dzi-
wacznym przygnębieniem, które wy-
raźnie ją opanowało — pomimo klęski
powinna pozostać sobą, powinna powró-
cić do swojej gorącej i entuzjastycznej
natury — ostatecznie nie wszystko jest
stracone, wojna nie jest skończona —
myślał — i pokrzepiony usnął mocno
sennem rekonwalescenta.

Lecz następny dzień rozproszył na-
dzieje kapitana na jakiegokolwiek po-
rozumienie z Wandą. Przede wszystkim
nie miał okazji z nią porozmawiać, gdyż
zaraz po śniadaniu wyszła gdzieś — na
poszukiwanie posady. Obie z matką
owładnięte były kurczowym strachem,
przed ubóstwem — cała uwaga ich
skoncentrowała się na problemie utrzyma-
nia, zarobienia pieniędzy. Matka
Wandy dała Niesiolowskiemu do zro-
zumienia, że również powinien o tym
pomyśleć. Zmieszany wyszedł na ulicę,
nie dokończony nawet śniadania.

Szukanie posady było oczywiście uto-
pią: kapitan nie znalazł w Warszawie ni-
kogo a zresztą w stanie obecnego zniszczenia
i niepewności, która objęła miasto
wraz z wkroczeniem zdobywców —
okupanta, nie widać było dlań możli-
wości żadnej pracy. Przy tym — co
właściwie mógłby robić? Przecież je-
go zawód nie przyda mu się już na nic:
wojsko przestało istnieć.

Obserwując nerwowe, gorączkowe ży-
cie ulicy Niesiolowski doszedł do wniosku,
że problem, który jemu się nasuwał —
jak zmieścić się jakoś w ramach niemoralnego życia rozbitej, ste-
roryzowanej, wyrzuconej z orbit stolicy
— był problemem ogólnym. Wszę-
dzie widział ludzi mających się nie
do swojej pracy — oto jakiś szczupły pan
sprzedaje pod murem papierosy, oto
panienki-pensjonarki handlują od nie-
dawna objawionymi cukierkami, oto lu-
dzie wynoszą na ulicę swoje rzeczy —
półta, futra, garnitury — wszyscy oni
to ofiary straszliwego września, wy-
pelzle teraz z potrząskanych mieszkań,
aby ogrzać się choć trochę w nikłym
blasku październikowego słońca i ja-
koś okrzepnąć — aby zacząć na nowo
żyć — wegetować. A oto tragedia i ha-
ba na pokaz — trzech beznogich żołnie-
rzy w okrwawionych jeszcze banda-
żach stoi na skwerku, obok przepływa-
jącej ludzkiej fali i intonują ochryple
„Jeszcze Polska nie zginęła”. Niesio-
łowski odwrócił się od nich z dresz-

czem wstępu i zgrozy — cała jego du-
sza burzyła się przeciw takiej żalostnej,
upokarzającej, wulgarnie patetycznej
demonstracji, a jednak on — człowiek
honoru i godności, obywatel, patriota,
oficer — był w tej chwili bezsilny, był
niemal w nielepszej sytuacji od tych
niezłomnych inwalidów — mógł tylko
ze spuszczonej oczami iść ukradkiem
brzegiem chodnika i ustępować na bok
przed ciężko stąpającym, aż po zęby
uzbrojonym patrole niemieckim.

Rozbity i roztrzęsiony wrócił póź-
nym popołudniem do mieszkania narze-
czonej — chociaż — czy mógł ją obec-
nie nazywać tym mianem, on — były
żołnierz i były człowiek? Wandy jesz-
cze nie było. Niesiolowski wręczył jej
matce nieco pieniędzy, pozostałych mu
jeszcze z oficerskiej gaży. Wobec mon-
strualnej drożyzny było to niewiele,
ale zawsze pewne pokrycie kosztów
utrzymania, bo zanim się za czymś ro-
zejrzy, musi przecież upłynąć parę dni,
jak tłumaczył nieszczerze i niezręcznie.
„Teściowa” jednak uznała to zdaje się
za pierwsze jego rozsądne słowa po
przybyciu — w każdym razie z mi-
szym nieco niż zwykle wyrazem twa-
rzy zaprosiła go do stołu. Ściemniało
się — Wandy jeszcze nie było — wra-
cała zwykle przed samą „godziną poli-
cyjną”.

Upłynęło parę dni, w czasie których
sytuacja kapitana stawała się coraz
bardziej przykra i nieznosna. Wandę wi-
dywał rzadko, pracy żadnej oczywiście
nie mógł znaleźć, w dodatku nie miał
nadających się do pokazania papierów,
był niemeldowany, administrator domu
kilkakrotnie już o niego zapytywał —
stawał się po prostu dla wszystkich cięż-
żarem i zawadą. Wanda bywała w do-
mu tylko wieczorami, była wtedy, po
całodziennym bieganiu zmęczona, ziry-
towana i nie miała najmniejszej ochoty
na rozmowy z nim, ani na żadne „wy-
jaśnienia”. Matka jej również stawa-
ła się coraz bardziej opryskliwa, w mia-
rę widocznie, jak topniała wpłacona
przez niego sumka. Sytuacja była wręcz
nieznosna: ambicja i godność Niesio-
łowskiego cierpiały tak bardzo, że był już
o krok od jakiejś gwałtownej, radykal-
nej decyzji, gdy oto pewnego wieczora
Wanda wróciła do domu w cudownym
humorze — co zresztą było zdaje się
również w związku z wypiciem paru
kieliszków. Okazało się, że dostała po-
sady kelnerki w nowym barze, założo-
nym przez bogatego obywatela ziem-
skiego z Wołynia — w barze tym rze-
kowo gromadziło się bogate i świetne
towarzystwo. Okazało się, że Wanda
nie zapomniała i o Niesiolowskim —
miał otrzymać stanowisko „barmana”
i jednocześnie będzie mieszkał i sypiał
w położonym za barem małym pokoiku.
Jutro ma pójść przedstawić się swe-
mu nowemu szefowi a pojutrze — za-
cząć pracę. Wanda spojrzała nań trium-
falnie — kapitan był zaskoczony, ale
również udawał radość i zapał, choć w
duszy wzdrygał się na perspektywę zo-
stania „fagasem”. Ale wiedział, że te-
go rodzaju obiekcje rozgniewałyby Wan-
dę i jej matkę i właściwie słusznie —
skoro jedyny zawód, jaki sobie wybrał
i jaki mu odpowiadał — służba wojs-
kowa — został dlań zamknięty, teraz
było już zupełnie wszystko jedno co
będzie dalej robił — były to po prostu
fałszywe ambicje. Udawał więc radość,
usiłował dopasować się do świetnego
nastroju obu kobiet, ale wymknął się
wcześnie spać i zasnął przygnębiony —
perspektywa jutrzejszej wizyty u no-
wego „szefa”.

„Szef” był to gruby, siwy, nalany
obywatel ziemski, „szlachcic — ruba-
cha”, huczący nieznośnym, kresowym
akcentem, traktujący wszystkich z nie-
grzeczną, protekcyjną wyższością,

stale podпиты, obrzydliwie umizgujący
się do wszystkich kobiet — w ogóle —
jak odrazu zdefiniował sobie kapitan —
stary, bezwstydy błazen, arogant i
cham. Tego ostrego sądu nie zmienił
fakt, że stary ostentacyjnie tytułował
Niesiolowskiego „panem kapitanem”,
hucząc ten tytuł na całą salę jakby
umyślnie — była w tym też swoista
forma bezczelności i fanfaronady stare-
go pryha. Tak czy owak Niesiolowski
nic po sobie nie pokazał, zmusił się na-
wet do tytułowania starego „panem dy-
rektorem”, obejrzał rzeczywiście ład-
ny i elegancki lokal, swój przyszły po-
koik i przyrzekł stawić się do pracy ju-
tro. Tego samego dnia miała objąć po-
sady Wanda.

Istotnie — nazajutrz zaczęło się „no-
we życie”. Stało się ono dla kapitana
jednym pasmem tortury i udręki. Ster-
czał cały dzień za barem, nalewając
gościom wódkę i piwo — wymagano od
niego stałej czujności, uwagi, zręczności
i uprzejmości — pozatem traktowa-
no go jak automat, którego się nie wi-
dzi — chyba, że zacznie źle funkcyj-
nować. W dodatku musiał usługiwać
ludziom, którzy drażnili go niepomier-
nie, przeciwko którym burzyła się ca-
ła jego natura — jakimś aroganckim,
zarozumiałym pętałom, różnym kuzyn-
om „dyrektora”, którzy zapili się
cały dzień, marnując w bezprzebieżny
sposób czas i pieniądze. Najgorszą jed-
nak udrękę zgotowała Niesiolowskiemu
Wanda — zachowanie jej było w jego
mniemaniu skandaliczne i niedopusz-
czalne. Najpierw nawiązała intensywny
flirt z „dyrektorem”, któremu takich
rzeczy nie trzeba było dwa razy po-
wtarzać — rozpoczął natychmiast de-
monstrować z nią publicznie rozmaite
poufałości, na widok których krew bu-
rzyła się w Niesiolowskim. Wanda nie
poprzestała jednak na tej łatwej zo-
bocy: postanowiła widocznie również
skokietować owo towarzystwo „szcze-
niaków”, całe dnie przesiadywała przy
ich stoliku i piła z nimi wódkę zano-
sząc się co chwila wysokim, prowoka-
cyjnym śmiechem, w którym drgały
wyraźnie nuty scenicznej zmysłowości.
Lecz i to nie było jeszcze najgorsze:
po pewnym czasie Wanda zaczęła przy-
siadać się nawet do nieznanym gości,
do każdego kto „postawił” jej kie-
liszek czy zakąskę. To już — jak są-
dził Niesiolowski — było początkiem
kariery kokocij. Kapitan próbował
zwrócić jej uwagę na nieprzystojność
i niestosowność jej zachowania, lecz
spotkał się z odprawą tak ostrą i bru-
talną, że zamilkł natychmiast. Od tego
czasu nie rozmawiał już z Wandą wca-
le tylko śledził ją zza bufetu rozgorza-
łym, drapieżnym wzrokiem: nie spuszc-
zał z niej oka popelniając przez to szereg
niezręczności: rozlewał napoje,
tłukł szklanki i kieliszki narażając się
przez to na docinki, drwiny a nawet
zgoła grubiaństwa ze strony „dyrekcji”
i stałych gości. Co gorsza wszyscy do-
skonałe zdawali sobie sprawę z przy-
czyny jego roztargnienia — pokpiwa-
no sobie z jego zazdrości i upokorzenia,
drwiono zeń niemal w oczy — i tak
wśród docinków i ironicznych spojrzeń
tkwił całe dnie za kontuarem, poniżony
i udręczony człowiek — automat —
niegdyś świetny oficer i dowódca kom-
panii. Wieczorem szedł do swojego po-
koiku, gdzie pozbawiony niemal poście-
li i bielizny przepędzał bezsenne noce
na wąskiej kanapie. I tak toczyło się
owo koło udręki codzień na nowo:
zmaltrętowany, zgnębiony, wymizero-
wany człowiek za bufetem stawał się
już nawet dla gości widowiskiem nie-
miłym i przykrym, a już „dyrekcja”
nie mogła nań w ogóle patrzeć. Toteż
spodziewał się lada dzień dymisji i te-

sknił do niej, cokolwiek by się po tym
miało zdarzyć, bo tego trybu życia dłu-
go już wytrzymać by nie mógł. Lecz
tymczasem los załatwił sprawę niespo-
dziewanie i radykalnie: wcielił się w
postać patrolu niemieckiej żandarmerii,
która zjawiła się nagle w lokalu siejąc
popłoch wśród gości. Pod pretekstem
poszukiwania nielegalnych trunków
Niemcy przeprowadzili brutalną i bez-
względą rewizję, w rezultacie aresztowa-
no dyrektora i większą część perso-
nelu. Niesiolowski cudem uniknął za-
trzymania udając z niespodziewaną dla
siebie samego zręcznością pijanego go-
ścia przy bufecie. Lokal zamknięto, a
kapitan, zapominając o wszelkich ura-
zach pobiegł ostrzec Wandę, która na
szczęście miała właśnie wolny dzień.
Został ją wraz z matką w płaszczach
i kapeluszach: dowiedziały się już ja-
koś o tym co się stało i zdenerwowane
do ostatecznych granic szykowały się
do natychmiastowego wyjazdu na wieś.
Takiej paniki Niesiolowski nie widział
nigdy w życiu: przyszło mu na myśl,
że nie będzie miał odtąd gdzie nocować,
lecz nie sposób było proponować im,
aby pozostawiły mu klucz od mieszka-
nia — propozycja taka spotkać by się
mogła z niewiedzią jak ostrą odpra-
wą. Mieszkanie zostało zamknięte na
kłódkę i obie kobiety nie żegnając się
niemal z kapitanem pobiegły do doróż-
ki. Jedynie braciszek Wandy zechciał
przebrać Niesiolowskiemu pożegnany
uśmiech: doróżka odjechała szybko od-
prowadzona spojrzeniem oszołomione-
go kapitana. Gdy znikli za rogiem po-
czuł ostre ukłucie bólu — a więc znów
pozostawał samotny i bezradny — „na
warszawskim bruku”.

Ulica Warszawy nie była wtedy
miejscem przyjemnym ani ciekawym —
w niczym nie przypominała tej „bar-
wej, wesolej, grającej życiem promena-
dy z sierpnia”. Teraz wiał po niej
strach, upokorzenie i nędza, a czasem
zimna, bezlitosna groza owładająca za-
stygłą, zniechęconą warszawską „pu-
bliką”, groza wcielona w brutalnych,
obcych, niebiesko umundurowanych lu-
dzi, w huczące pancerne auta i moto-
cyklony, w szybki trzask automa-
tycznych salw karabinowych. Mieszka-
cy miasta nie byli już u siebie: coś
potwornego, niewiarogodnie obcego za-
mieszkało między nimi i owładnęło ży-
ciem, dziwaczna groza wiała z błędnych
twarzy Żydów noszących opaski z nie-
bieską gwiazdą, Żydów nie wiedzących
jeszcze co ich czeka i snujących się po
mieście, obnoszących swe oszupiające,
bezmysłne upokorzenie — symbol tego
straszego miasta — „miasta schwyta-
nego w sieć” jak nazwał je pewien
poeta. Miasto zostało skute okowami —
wieczorem: gdy żelazny podmuch „go-
dziny policyjnej” wygnął z ulic ostat-
nich przechodniów, groza, pustka i non-
sens spotykały się w kamiennej przę-
strzeni i wlały w niej do rana —
tylko wraże patrole budziły czasem echo
wśród zastygłych domów swymi cięż-
kimi, miarowymi krokami, które dźwię-

czyły jak złowrogie memento, przy-
pomnienie, że potwór nie śpi nigdy.

Na takich to ulicach, labiryncie bez
wyjścia znalazł się nagle kapitan Nie-
siolowski i to bezbranny — bez oręża,
jaki stanowią dla ludzi dokumenty i
pieniądze. Dnie spędzał bezmyślnie na
włóczędztwie po mieście albo też siedząc
nad kawą wśród przepływającego obok
niego sztucznego ożywienia kawiarni.
Lecz najgorsze były noce: bez doku-
mentów nie mógł dostać żadnego le-
galnego noclegu w hotelu czy domu
ucelogowym — spędzał więc noce na
obcych, niegościnnych schodach drze-
miąc skulony i wzdrygając się co chwila
z zimna i wstępu. Lecz tak długie
trwać nie mogło: kapitan doszedł już
do stanu, gdy wszystkie jego pragnie-
nia ześrodkowały się w jednym: zna-
leźć ciepły, ukryty kąt, gdzie mógłby
wreszcie zasnąć i — zapomnieć. I w
tym momencie właśnie los się do niego
uśmiechnął: spotkał na ulicy kolegę —
porucznika z tego samego pułku. Kole-
ga poinformował go, że istnieje tajna
organizacja oficerska, która bądź wy-
sła zawodowych oficerów do Francji,
gdzie zbroi się przeciw polskiej armii,
bądź też wyszukuje ich jako instrukto-
rów na miejscu: tworzy się tutaj wojs-
ko, które przechować musi polskie tra-
dycje bojowe do chwili „gdy nadejdzie
czas”. Niesiolowski stanął ogłuszony:
były to wiadomości tak dobre, że aż
niewiarogodne — za jednym zamachem
miał odzyskać normalną, ludzką egzy-
stencję i swoją ponad wszystko ulubio-
ną pracę. O mało nie ucałował porucz-
nika: przenocował pod wskazanym ad-
resem a na drugi dzień (co za tempo!)
otrzymał już fałszywy paszport i pew-
ną sumę pieniędzy. Na trzeci dzień miał
się zgłosić do wskazanego mu konspira-
cyjnego lokalu po instrukcje i „przy-
dział” (to słowo zabrzmiało mu w
uszach jak najpiękniejsza muzyka).
Lecz na tym niestety skończyło się
wszystko. Gdy Niesiolowski stanął
przed drzwiami wskazanego lokalu,
stwierdził ze zdumieniem, że mieszka-
nie zamknięte jest na kłódkę. Z przy-
krym uczuciem w sercu zeszedł do stró-
ża, który po długich namowach, popar-
tych banknotem, przesądnie i lekko
ogłupiając się na wszystkie strony wy-
mruzczał wreszcie fatalną wiadomość:
w nocy było tam „Gestapo” i zabrało
wszystkich. Niesiolowski wyszedł jak
ogłuszony: skierował się do mieszkania
w którym nocował, lecz i ono zamknię-
te było na głucho. Widocznie nastąpił
jakaś wielka, generalna „wysypa”. Ka-
pitanowi udzielił się także ów chorobli-
wy lęk, wiszący w powietrzu: sześć
coraz prędzej, oglądając się wciąż czy
go ktoś nie śledzi: w końcu nawet
wsiadł do doróżki. Wsiadł na drugim
końcu miasta z uczuciem zawstyżenia
i bólu. Nikt go wprawdzie nie śledził,
ale jego kontakt z organizacją i zwią-
zane z nim nadzieje urwały się znów
samotny znalazł się wśród ulic strasz-
nego miasta.

d. c. n.

Do P. T. Prenumeratorów i Czytelników

ADMINISTRACJA TYGODNIKA „DZIS I JUTRO” APE-
LUJE DO WSZYSTKICH P. T. PRENUMERATORÓW
I CZYTELNIKÓW, ABY PODJĘLI TRUD ROZPOWSZEC-
NIANIA NASZEGO PISMA.

JEŻELI KAŻDY Z NASZYCH PRENUMERATORÓW
ZJEDNA NOWYCH PIĘCIU, TYGODNIK NASZ UZYSKA
STAŁĄ PODSTAWĘ FINANSOWĄ, JEŻELI ABONAMENT
OPLACANY BĘDZIE PUNKTUALNIE, TA PODSTAWA
FINANSOWA OKAŻE SIĘ NAJBARDZIEJ SOLIDNĄ
I NIEZAWODNĄ.

PRENUMERATORZY, OPLACAJCIE PUNKTUALNIE
PRENUMERATĘ. CZYTELNICZY, PRZESTAŃCIE BYĆ WY-
ŁĄCZNIE TYLKO CZYTELNIKAMI, STAŃCIE SIĘ PRE-
NUMERATORAMI.

ADMINISTRACJA „DZIS I JUTRO”

Tadeusz Mazowiecki

Samoświadomość społeczna inteligenta (2)

(dokończenie ze str. 3-ej)

istnienia tych dwóch procesów nie ma w sobie nic anormalnego, ani paradoksalnego. Działanie czynników grupotwórczych jest w każdym układzie społecznym zjawiskiem naturalnym. Usunięcie ekonomicznych podstaw podziału klasowego i zaistnienie zdrowej selekcji społecznej pozwolić może na nadanie wytwarzającym się grupom społecznym z gruntu innego charakteru, zapobiegając ich grupowej nienaruszalności i umożliwiając swobodny przepływ międzygrupy.

Z poruszonymi powyżej zagadnieniami wiąże się jeszcze jeden dla naszych rozważań niezwykle istotny problem, a mianowicie sprawa funkcji społecznej i pozycji społecznej, czy jak wolą inni miejsca społecznego.

W społeczeństwie klasowym, czy też sięgając dalej w społeczeństwie nie tylko faktycznie, lecz i formalnie pionowo s hierarchizowanym, jakim było społeczeństwo sta nowie, nie jest do pomysłenia poj mowanie pozycji społecznej poszczegól nych ludzi inaczej jak tylko w schemacie prawnie obwarowa nej lub tylko faktycznie istniejącej pionowej gradacji społecznej. Miejs ca społeczne mogą tam być tylko wyżej lub niżej. Ta wyższość lub niższość społeczna ma swoją pod stawę zarówno w posiadaniu lub nieposiadaniu środków produkcji jak i w ułatwionym lub utrudnio nym dostępie do kultury. Stosunek wyższości - niższości wywiera piętno na całym życiu społeczeństwa.

W społeczeństwie pozbawionym klasowego zróżnicowania zaistnie je możliwość innego pojmowania pozycji społecznej. Wskutek usunięcia hierarchicznego podziału za mkniętych miejsc społecznych stosunek wyższości - niższości może zostać zastąpiony stosunkiem odrębności funkcji społecznych. Tylko w społeczeństwie zróżnicowa nym klasowo miejsca społeczne mu szą być konieczne ustawione w pionowej gradacji. Tylko w takim układzie społecznym odrębność dwóch pozycji społecznych musi prowadzić koniecznie do wniosku, że jedna z nich jest absolutnie wyż sza, druga absolutnie niższa. Tylko też w takim społeczeństwie predestynacja człowieka na takie lub inne miejsce jest z góry już ustalona. Odrębność różnych pozycji spo łecznych opierająca się na zasadzie różnicy funkcji społecznych pozbawiona jest cech absolutnej wyższo ści. Odrębność ta polegać może je dynie na różnicy istniejącej pomię dzy poszczególnymi funkcjami spo łecznymi, przy czym to zróżnicowa nie nie podlega kryterium abso lutnej wyższości, ale kryterium odmienności wykonywanej pracy. Oczywiście zawsze będzie istnieć ta czy inna forma organizacyjna, określająca zależność poszczegól nych funkcji społecznych od sie bie.

To wszystko, co napisaliśmy w tej części naszych rozważań nie ma na celu tworzenia jakiejś mniej lub więcej poprawnej wizji przyszłego ustroju społecznego, ale jedynie zarysowanie tendencji prawidłowe go rozwoju społecznego. Wydaje się, że przy głębszej obserwacji roz woju społecznego ten proces we wnętrzo - społecznej konsolidacji i usuwania nierówności nie trudno dostrzec. W okresie wyemancypowa nia się społecznego warstw upo-

ślędzonych i przejścia przez nie do minującej roli społecznej kierunek tego procesu w jego prawidłowym rozwoju zmierzać musi — naszym zdaniem — ku wykształceniu się społeczeństwa pozbawionego różni cowań klasowych.

Nie chcemy zajmować się proro ctwami, stwierdzamy jedynie, że proces taki — przy całej swojej skomplikowanej, właściwej tylko procesom społecznym naturze — faktycznie się dokonywuje.

Warto na tym miejscu zaznaczyć jeszcze i to, że wbrew zarówno twierdzeniom niektórych przeciwni ków katolicyzmu, jak i jego zwoleni ków o konserwatywnej postawie społecznej, światopogląd ten nie ma w sobie nic, co by się temu pra widłowemu rozwojowi społeczne mu przeciwstawiało, ani też go ne gowało usuwając nakreśloną tu ten dencję wyłącznie w dziedzinie utopi i. Przykazania społecznej miłości i sprawiedliwości idą tym tenden cjom na przeciw. Zarzut jest więc tylko kulą ugodzoną w płot, która odbijając się, rekoszetem uka że w tym, który jej używa człowie ka bądź nierozumiejącego, bądź nieumiejącego wyciągać pełnych społecznych konsekwencji dla aktualnego okresu historycznego z opartej na najgłębszych fundamen tach miłości i sprawiedliwości spo łecznej nauki Chrystusa.

V.

Pora na wyciągnięcie wniosków jakie dla problemu społecznej samoświadomości inteligenta wynika ją z nakreślonych wyżej tendencji społecznego rozwoju.

Charakter inteligencji, jako osob nej warstwy opierającej się na spo łeczno - towarzyskich powiązaniach wyizolowanego getta, na abso lutnym rozdziale pracy umysłowe j od pracy fizycznej, na postawie wyższości społecznej, nie może się ostać w nowoczesnym spo łeczństwie. Podniesienie poziomu gospodarczego niweluje między warstwowe przepaści kulturalne. Z drugiej strony rozwój społeczny za cierając absolutny rozdział między pracą umysłową a pracą fizyczną i zmierzając w kierunku likwidowa nia pionowej gradacji zamkniętych warstw społecznych ustawia pozycję inteligenta zupełnie inaczej w nowoczesnym społeczeństwie. W społeczeństwie kształtującym się we dług prawidłowości tego rozwoju inteligenci nie mogą tworzyć osob nej, zamkniętej warstwy o jej do tychczasowym charakterze. Czynniki grupotwórcze działające w spo łeczństwie pozbawionym pionowe go zróżnicowania klasowego nie wątpliwie tworzyć będą z intelek tualistów różnego autoramentu róż ne grupy społeczne. Grupy te nie mogą jednak przybierać dotychcza sowej postaci wyizolowanej zam kniętej warstwy społecznej.

Charakter miejsc społecznych poszczególnych ludzi zależy od histo rycznego ukształtowania się form współżycia zbiorowego. W spo łeczństwie s hierarchizowanym pionowo według klasowej przynależno ści charakter ten objawia się w absolutnej wyższości wzgl. niższo ści społecznej. W społeczeństwie pozbawionym tego s hierarchizowa nia wyznaczać go będzie w pierw szym rzędzie odmiennosc funkcji

społecznych - odmiennosc pozbawio na piętna wyższości. Podział na in teligentów i nieinteligentów mający swe źródło w absolutnym rozdziale pracy umysłowej od pracy fizycznej, oraz w historycznym uk ształtowaniu się warstwy in teligencjowej w formie wyizolowanego społeczno - towarzyskiego getta ustępuje już i ustępować będzie wskutek działania trzech omówio nych wyżej czynników społecznego rozwoju — podziałowi na sereg grup wyodrębniających się swymi społecznymi funkcjami, a pozbawio nych w tym wyodrębnieniu piętna stosunku wyższości - niższości, grup niezamkniętych rekrutujących się na zasadzie swobodnego przepływu międzygrupowego i nieskrępo wanej selekcji społecznej. Z tego stwierdzenia wynika pierwszy pod stawowy wniosek dla problemu spo łecznej samoświadomości intelligen ta. Samoświadomość społeczna dzi siejszego inteligenta polskiego nie może się opierać na poczuciu przy należności do wyizolowanej, zam kniętej warstwy społecznej wyzna czającym codzienną postawę wo bec ludzi z poza warstwy przez kry terium wyższości - niższości. Samo świadomość społeczna inteligenta opierać się może jedynie na prze konaniu o odmiennosci jego funkcji społecznej, przy czym to przekonanie pozbawione być musi szkodli wego piętna wyższości.

J. Chałasiński podając przykład Kasprowicza, czy Lwa Tołstoja, w którym przez długie lata inteligent walczył z antyinteligentem słusznie pisze, iż można być inteligentem i buntować się przeciwko własnej inteligencji, nie można jednak samemu sobie stworzyć indywidual nego miejsca społecznego. O ile zdobyć sobie indywidualnego miej sca społecznego jest niemożliwe, to jednak kształtowanie przez świadomą postawę ludzi form współżycia zbiorowego, a w konsekwencji też i charakteru miejsc społecznych poszczególnych grup społecznych, zależy od tego w jakim stopniu ocena o słuszności tego kształtowania we dług takich, a nie innych tendencji rozwojowych staje się nie indywi dualnym lecz społecznie uznawa nym walorem.

Postulaty przemian społecznych z różnym nasileniem zdobywają so bie prawo obywatelstwa w wewnę trznym przekonaniu członków zbio rowości. Tam, gdzie wchodzi w grę jaskrawe krzywdy społeczne po stulat ich zlikwidowania mimo iż na trafia na opór grup zainteresowa nych w utrzymaniu dotychczasowe go porządku, stosunkowo szybko znajduje społeczną aprobatę i realne oparcie w grupie, czy grup ach uciskanych. Daleko żmudniej jednak odbywa się likwidacja psy chologicznych skutków długotrwa łego krzywdzącego porządku spo łeczności. Do tego rodzaju zagad nień należy też i problem zmian społecznej samoświadomości spo łecznej inteligenta. Dlatego dziś in teligent zgodzi się na nie które formy udostępnienia kul tury robotnikom i chłopom, ale nie wyzbędzie się przekonania, że człowiekiem naprawdę kulturalnym może być tylko inteligent w piątym pokoleniu. Dlatego też bronić będzie warstwowego charakteru intelligen cji.

„Kurier Codzienny“ zamieścił nie dawno art. St. Kulczyńskiego, k rek tora Uniwersytetu i Politechniki we

Wrocławiu, w którym m. in. czyta my: „Losy i przyszłość inteligencji leżą w ręku inteligencji. Droga jej marszu wytyczona. Wskazują ją ha sła, które rzuca robotnik, a które my podejmujemy. Na drodze tej mamy wszelkie widoki sukcesu we współzawodnictwie z robotnikiem w dążeniu do wspólnego celu. Gdy opuścimy tę drogę, zdegenerujemy jako warstwa przodownicza i sto czymy się do rowu, podobnie jak każda inna warstwa przodownicza która straciła społeczną i histo ryczną busolę. Cenne społecznie narzędzia pracy, które mamy w ręku, nasza kultura, nasza nauka, na sza wyższa fachowa wiedza, zesta ną nam odebrane, tak samo jak ode brane zostały narzędzia pracy fabrykantom i właścicielom ziemskim, którzy nie umieli ich użyć na spo łeczny pożytek. Dzieci nasze nie będą inteligentami, tak jak spadko biercy fabrykantów nie będą właści cielami fabryk“⁹⁾.

Tego rodzaju uzasadnienie zadań inteligencji jest jednocześnie obro ną jej warstwowego charakteru. Nie o to chodzi, by syn inżyniera był inżynierem, ale o to, by inżynierem był ten, kto posiada najwłaśc iwsze ku temu dane. Zrozumienie tendencji społecznego rozwoju wymaga od dzisiejszego inteligenta ho ryzontów myślowych i daleko szer szych i daleko głębszych. Nie moż na pogodzić pełnego równoupraw nienia kulturalnego z ocaleniem warstwowego charakteru intelligen cji. Nie można już dziś mówić tyl ko o mniej lub więcej udanym skle jeniu w jedną całość trzech podsta wowych członów społecznych w ich dotychczasowym historycznie ukształtowanym charakterze. W ta kiej części miejsca społeczne były by znów z góry historycznie wyzna czone. Rozwój społeczny nie poz woli tylko na zlepianie historycz nie ukształtowanych warstw w ich dotychczasowym charakterze, ale niesie z sobą gruntowne przeoranie społecznego układu. Otwarcie ba rier odgradzających poszczególne warstwy wytworzyć musi naturalną selekcję społeczną pozbawioną no minalnej predestynacji. Usunięcie wyników w procesie historycznego kształtowania się warstw społecz nych nominalnych przydziałów miejsc społecznych, słowem wytworze nie warunków równego startu kulturalnego i wypracowanie metod nieskrępowanej selekcji społecznej należy do najważniejszych zadań te raźniejszości. Jeżeli pod pojęciem „inteligencja“ (czy innym analogicz nym określeniem) rozumiemy chcem y w możliwie najbliższej przy szłości nie wyizolowaną wyższą war stwę społeczno-kulturalną, lecz in telektualną czołówkę pozbawionego pionowej gradacji społeczeństwa, to udział w tej czołówce nie może zależeć od takiej czy innej z góry wyznaczonej predestynacji społecz nej, ale oparty być musi na nieskrę powanej selekcji społecznej. Miejs ca społeczne ludzi tworzących tę czołówkę nie mogą być trwale za rezerwowane niezależnie od rzeczy wistej wartości jej członków. Nie chodzi tu bynajmniej o równanie kulturalne w dół. Chodzi o możli wości równego startu i ocenę rzeczy wistych wartości. Społeczna samo świadomość inteligenta opierać się

winna na głębokim wyczuciu tenden cji społecznego rozwoju, na zrozumi eniu tego, że aprioryczna, histo rycznie ukształtowana predestyna cja społeczna ustąpić musi jak naj szybciej miejsca współzawodnictwu rzeczywistych wartości.

Zrozumienie tendencji społeczne go rozwoju nie może być tylko ab strakcyjnym wybieganiem myślo wym w przyszłość. Byłoby też błę dem tak osądzać nasze rozważania. Dlatego tym silniej podkreślić trze ba, że ze zrozumienia tego wpły wać muszą wnioski życiowe dostoso wane do konkretnej chwili.

Zmiana społecznej samoświadomo ści inteligenta wyrażać się musi w przystosowaniu jego postawy do potrzeb nowoczesnego społeczeń stwa. Wyzbycie się postawy wyż szości, pojmowanie swej funkcji społecznej, jako funkcji tylko od miennej, a nie wyższej absolutnie, musi znajdować swoje odbicie w codziennym stosunku człowieka do człowieka. Stąd musi się rodzić jak największy szacunek dla pracy ludzkiej, obojętnie jak byłaby ona nazywana. Stąd wreszcie powstać musi pozbycie się postawy sceptycznego krytyka — który ze swego Parnasu wyższości kultural nej z ironicznym uśmiechem patrzy na wszelkie poczynania zmierzające do wtworzenia równego startu kulturalnego — na rzecz po stawy uczestniczenia w tych poczynaniach.

Trzeba bowiem pamiętać, że roz wój społeczny zależy jest w pierw szym rzędzie od świadomego zaangażowania się ludzi w jego realiza cję. To zaangażowanie nie odbywa się przez wielkie deklaracje polityczne, ale właśnie przez codzienną postawę. Trzeba rozumiejąc tenden cje tego rozwoju poczuć się za interesowanym w jego realizowa niu. Kształtowanie stosunków spo łecznych według tych tendencji le ży bowiem w interesie całego świata pracy uspołecznionej. Wspólnota celów jest tu wspólnotą ogólnospo łeczną.

Nie jest zadaniem katolicyzmu i katolików przeciwstawianie się temu rozwojowi społecznemu, ani ne gowanie go lub lekceważenie. Jest natomiast zadaniem katolików pracować nad tym, by nowe formy współżycia zbiorowego, które ten rozwój niesie odpowiadały wymo gom naszej eryki społecznej. Słowem jest naszym zadaniem brzo pając je chrześcijańską treścią.

„Katolicy nie mogą być gromadą ciotek mających za złe historii ludzkości“ — pisano w jednym z gru dniowych numerów „Dziś i Jutro“. Postawa ciotek mających za złe historii ludzkości jest postawą dużej ilości katolików — inteligentów. Religia jest często, na przekór jej praw dom wykorzystywana dla przetrwa nia w inteligencjowej izolacji, peł nej z gruntu achrześcijańskiej wyż szości.

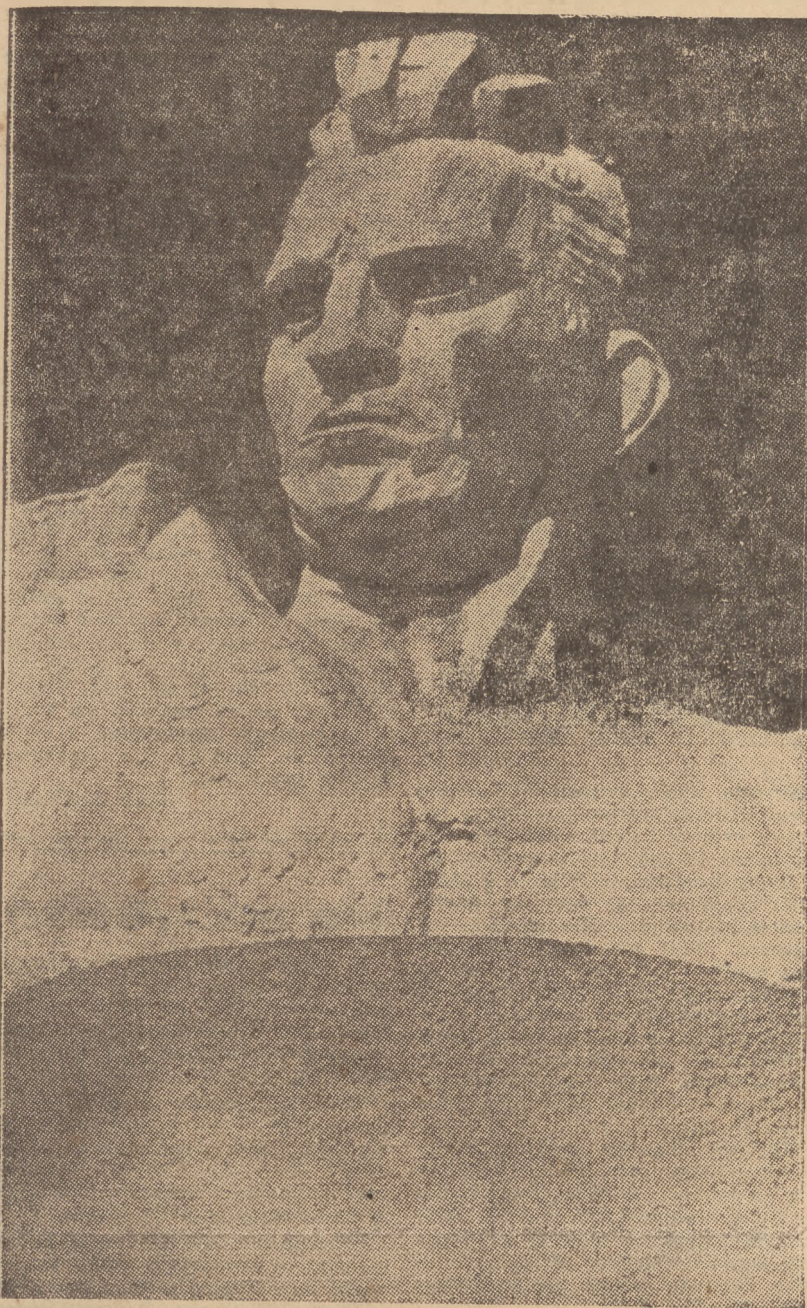
Katolik zdać sobie winien nale żyć sprawę z tendencji społeczne go rozwoju. Jego postawa społecz na odpowiadać musi wymogom przez nie stawianym. Jest bowiem naszym naczelnym obowiązkiem wy ciągnięcie pełnych społecznych konsekwencji w stosunku do epoki w której żyjemy z ewangelicznego na kazu — „Przykazanie Moje dać Wam, abyście się społecznie miłowali“.

Tadeusz Mazowiecki

⁹⁾ St. Kulczyński „Rola i zadania inteligencji“ (tekst przemówienia) „Ku rier Codzienny“ z dnia 13.3.49.

Mieczysław Kurzyński

Argument żywiołu



K. Dunikowski — Robotnik

Motto: „...historia jest wtedy dobrym argumentem, gdy wszystkie inne — geografia, gospodarka, strategia, polityka — przekonają już oponenta... o konieczności jakiejś zmiany terytorialnej...”

Z książki Koźniewskiego „Zywioły”

Nie ma co ukrywać — Koźniewski opóźnił się z wydaniem tej książki. Myślę zresztą, że to nie jego wina. Może w ogóle nie ma tu czyjeś winy. Fakt jednak faktem, że „Zywioły” powinny się ukazać i co ważniejsze być czytane w okresie największego zainteresowania Ziemią Odzyskaną, wtedy gdy Prezydent RP otwierał Wystawę we Wrocławiu. Wówczas to przecież zakończony został pierwszy etap naszego wysiłku na tych terenach. Obraz przedstawiony w „Zywiołach” byłby właściwą podbudową wykresów, map, i eksponatów wrocławskich.

Stało się inaczej — trudno, choć może dlatego właśnie tak mało pisano o tym zbiorze reportaży. Po prostu rutynowani krytycy i publicyści co innego wzięli już na warsztat literacko-propagandowy. Ziemia Odzyskana — ależ to zagadnienie stare, „aż z 45 roku”. Czy warto do niego wracać?

W tym nastawieniu jest przede wszystkim wygodnictwo piór, którym łatwiej poruszać się po liniach naznaczonych przez zmienną rzeczywistość, niż pogłębiać problemy trwale, poszukując ich najgłębszego sensu. Myślę przecież, że w zmianie stosunku publicystyki do tematu „Zachód” nie tylko należy szukać negatywów. Wydaje mi się, że jest w nim zdrowe ziarno. Istotnie problemat Odry i Nysy inaczej wygląda dziś niż kiedyś. Stąd pewne ściśnieni publicystyki zanim znajdzie ona

nowe środki wypowiedzi w tych sprawach.

W takim jednak razie książka Koźniewskiego jest doskonałą okazją do poszukania nowego wyrazu dla problematyki zachodniej. Sama przecież stawia ją w dalekim od schematu i rutyny „świecie. Kto wie, może właśnie w kierunku wskazanym w „Zywiołach” zdążyć będzie „zachodnia publicystyka” najbliższej przyszłości.

„MUSIMY” — „PRAGNIEMY”

Jeśli przypomnieć sobie prehistoryczny już dziś rok 1945 i prowadzoną wówczas propagandę na rzecz Ziemi Odzyskanych, to za naczelną jej nutę trzeba uznać ton „musimy”. Pisało się o „konieczności zasiedlania” i „wysiedlania” o potrzebie „zorganizowania administracji”, o kopalniach i fabrykach, które musimy uruchomić, o polach, które natychmiast należy obsiać, o autochtonach, którymi mamy obowiązek się zająć itd. itd... Owo „musimy” narzucające przez rzeczywistość ziemi wydartej wojnie, dymiącej jeszcze a już zagrożonej przez marzących o odwecie Niemców, których popierały „diabły modlące się do cyfr” stało się powszechnym nakazem całego społeczeństwa i określało publicystykę.

Jakże można było inaczej pisać, kiedy okazja historyczna i potrzeba codzienna tym tonem przepajała wysiłek górnik, trudności przesiedleńca, planowanie inżyniera, pracę naukowców i troskę męża stanu. Nikt nie pytał nas, czy wystarczy sił, czy jest wygodnie, czy łatwo, nie tworzył legend o odpoczynku, czy upodobaniu. Jedyna na przestrzeni wielu wieków, a w wymiarze czasowym krótka i niepowtarzalna szansa kazała sprzęgać wszystkie możliwości, by wygrać wyścig z historią.

Ten wyścig został wygrany. Stopniowo

wo nakaz historii przeradzał się w umiłowanie. Nie ulegało wątpliwości — „chcieliśmy”.

Chcieliśmy zresztą od początku. Tylko w każdym etapie odmiennie. W tych „prehistorycznych” czasach, o których mówię umiłowanie tkwiło tylko właściwie w duszach naukowców i autochtonów w typie Osmańczyka. Nawet mężowie stanu i politycy, walczący o nasze prawa do Ziemi Odzyskanych patrzyli na te sprawy okiem statystów. Nie mogli zresztą inaczej. Dla nich „chcemy” i „musimy” było tym samym, a kwestie uczuć w ogóle niemal nie wchodziły w grę.

Masa narodu od początku najbardziej spontanicznie czuła konieczność — trud no jednak mówić, by także czuła sentyment. Powstawało to stopniowo. Po pierwszej fali „szabru” i jej spłynięciu zo stali ci, którym nie był straszny codzienny trud. Z pracy zaś powstało dopiero uczucie do ziemi, która umie ją wynagrodzić płonem, węglem czy rybą.

Sumując, dążenie Polski na Zachód było na pewno siłą spontaniczną, która jednak układała się przede wszystkim jako świadomość konieczności historycznej. Dopiero później przyszedł czas na bardziej łagodne uczucia — zrodził się sentyment. Dziś Ziemia Zachodnia są nie tylko koniecznością, ale takim samym przedmiotem miłości, jak reszta kraju. Dokonała się przemiana uczuć, którą kryją słowa „musimy” — „pragniemy”.

KSIĄŻKA INTERESU OSOBISTEGO

„Zywioły” składają się z czterech części: „Oracze”, Kamienie i kłosa”, „Fala złota”, „Twór rąk naszych”. Od powiadają one mniej więcej fazom zagospodarowania Zachodu, od pierwszych chwil, gdy przybywał tu żywioł dziki, ale najbardziej przedsiębiorczy, do stopniowego wykuwania nowego, ze spolonego z resztą kraju kształtu gospodarczego tych terenów. Jest to jednak dość luźna kompozycja. Koźniewski układał swe reportaże przede wszystkim tak, by były ciekawe dla czytelnika. Nie chodziło mu przecież o propagandę (książka jest przeznaczona przede wszystkim dla czytelnika krajowego), ale o pokazanie jak było i jak jest w sposób interesujący. I to mu się w pełni udało. „Zywioły” są czytelne dla każdego.

Jeśli jednak ten zbiór reportaży nie jest propagandą banalną, to trzeba stwierdzić, że w ujęciu Zachodu przez Koźniewskiego nie brak tendencji. Jest to zresztą walna zaleta „Zywiołów” — że poszczególne obrazy łączą się w określoną całość, a nawet tworzą niemal program autora. Ta tendencja wiąże się zaś z tym, co powiedziałem poprzednio o zmianie naszego stosunku do Zachodu. Koźniewski wielokrotnie i jasno mówi — Ziemia Zachodnia stała się dlatego nasze, że po okresie idealistycznego zrywu pracy, wysiłku woli i kracicowego poświęcenia przychodził okres, w którym każdy zamieszkujejący ziemię na wschód od Odry jest osobiście i najbardziej realnie zainteresowany w polskośći tych terenów.

Jeden z gospodarzy wiejskich w Brzegu nad Odrą ujmuje te sprawy lapidarnie „miło pracować, gdy zamożność rośnie pod palcami” (str. 115) i można się w tym dopatrywać chęci ci, ale w gruncie rzeczy raczej należy widzieć siłę, której brakowało Niemcom, skarzającym się stale na „Ostflucht”, bo lepsze interesy zapewniała gospodarka na zachodzie Rzeszy.

Ta siła powinna zresztą rosnąć nie tylko w pracy. Związek z ojcowizną to także związek z miejscem odpoczynku, konsumpcji tego, co wypracowały mięśnie i mózg. Koźniewskiemu należy się osobiście podziękowanie za rozdziały zatytułowane: „Nie tylko praca”. Weale nie dlatego, że wolno choć na chwilę

osłabić wysiłek w postępie gospodarczym Polski. Przeciwnie. Nasze pokolenie pracuje, musi i będzie pracować całe życie bez wytchnienia.

Autor jednak „Zywiołów” sam uruchomiony rytmem trudu włożonego w zachód potrafił oddzielić cel i środek, gdy mówi: „Życie człowieka składa się nie tylko z nieustannej pracy, ze skrzyżnego gromadzenia bogactw osobistych i społecznych, z twórczego, naukowego, lub artystycznego wysiłku. Na szczęście — nie tylko.” (str. 404)

I jeszcze więcej trzeba mu przyznać wnikliwości, gdy w roli Ziemi Odzyskanych właśnie dla wypoczynku, dla przeżyć estetycznych, dla sportu umie odgadnąć nowy element siły i ostateczne zakończenie procesu repolonizacji.

WOBEC PRZYSZŁOŚCI...

W chwili pisania tej recenzji zagadnienie polskiej granicy zachodniej jako problemu międzynarodowego jest właściwie już przesądzone. Wprawdzie tu i owdzie odzywają się głosy niemieckich rewizjonistów, mówiących o odwecie i bądźmy szczerzy, spotykają oddźwięki, ale system sojuszków Polski, gwarantuje jej przyszłość w oczach każdego nieuprzedzonego.

Nie znaczy to przecież, że można jakoś tam próbować wypoczywać. Niewątpliwe zrośnięcie Ziemi Odzyskanych z resztą kraju stawia kwestie Śląska, Pomorza, czy Ziemi Lubuskiej na tej samej płaszczyźnie co zagadnienie Warszawy lub Krakowa, ale są pewne sprawy, które długo jeszcze wymagać będą specjalnej troski. Otóż jeszcze jedną zaletą „Zywiołów” jest to, że potrafiły wskazać niektóre kierunki właściwego postępowania wobec pro-

blematyki zachodniej, przede wszystkim wobec kwestii ludnościowej.

Koźniewski jest humanistą. Człowiek i to, co z nim związane, jest mu najbliższe. Dlatego warto wysłuchać tego, co mówi, tym więcej, że zdanie swoje opiera na obserwacji, których bystrość jest uderzająca.

Oto, co wydaje się ze wskazań „Zywiołów” najważniejsze:

a) Ziemia Odzyskana są terenem, który wymagał i mimo zrośnięcia się z resztą kraju wymaga specjalnie dobrej biurokracji. Tam nie było miejsca i nie będzie go nadal na „urzędowanie”. Na tereny zachodnie powinny przyjsić najtęższe głowy i najlepsze charaktery z całej administracji.

Koźniewski mówi: „Autochtonom trzeba imponować pracą i organizacją” (str. 41) — ma rację i postokroć ma rację...

b) Na tych terenach należy unikać schematyzacji. Tylko mądrość postępowania pozwoli przelamać piętrzącą się trudność.

Koźniewski mówi: „W zmudnej orce przywracania polskości nie można stosować metod ani masowych, ani uproszczonych. Jest to indywidualna praca niemal jubilerska” (str. 23).

c) W walce o przyszłość zachodu współdziałać winny wszystkie czynniki. Rola religii i przywiązanie do obyczaju jest tu ważniejsze niż gdziekolwiek.

d) Dobrobyt indywidualny jest związany z bogactwem narodowym. Na tym tle dopiero rodzi się prawdziwa siła tych ziem.

Mieczysław Kurzyński



Panna młoda w stroju śląskim

Wędrowki po scenach polskich

KRZYK JARZĘBINY

Podłuchiwanie cudzych rozmów nie jest zajęciem godnym pochwały. Zdążyć się jednak, iż okrucy rozmów prowadzonych przez osoby trzecie wpajają do uczu mimo woli, zwłaszcza gdy rzecz się dzieje w ciasnym foyer teatru, w przerwie spektaklu z przepętną widownią.

Schody w Teatrze Kameralnym. Kilka stopni niżej ode mnie stoi dwu panów. Jedną twarz rozpoznaję: poeta z wysokim o sobie mniemaniem, tudzież autor sztuki, która rzadką zrobiła klapę. Przechodzę obok rozmawiających i słyszę kilka słów.

Nieznamy: „no, i?”

Wyżej opisany: Udialogowana teka dr Prota Sowizdrzała....

Zastanowiła mnie ta opinia o „Krzyku Jarzębiny” Wacława Kubackiego. Wydaje mi się, iż podobnych w treści, choć różnie sformułowanych zarzutów na temat dialogu w sztuce Kubackiego będzie więcej. Dlatego to zagadnienie wydobynam na pierwszy plan w swojej recenzji.

Oklepanym już frazesem stało się słusze twierdzenie, że dramaturgia jest najtrudniejszym gatunkiem twórczości literackiej. Epocem nam współczesnej zachciało się ni stąd ni zowąd postawić teatrowi bardzo dziwne zadanie: precz z teatralizacją. Nie ma specjalnego języka teatralnego. Teatr ma być taki jak życie. Trzeba skończyć z wszelką sztucznością, zastępując ją prawdą.

Na scenie mamy zobaczyć odbicie swoich spraw, tych, które były wczoraj, tych, które trwają, lub tych, które mogą się zdarzyć jutro.

Wszystkie, określimy to, staroświeckie akcesoria teatru przypominamy sobie jedynie, nie bez wzruszenia, ale zawsze z uśmiechem, tylko wówczas, gdy wystawia się klasyków — oczywiście nie na „Hamlecie” we frakach — ale na spektaklach klasycznych, realizowanych, jak się to mówi, w stylu.

Rzecz teraz w tym, jak się mamy stosunkować do autora współczesnego, który pisze sztukę o zdarzeniach z przed 120 lat. Czego mamy od niego wymagać? Pełnej wierności we wszystkich szczegółach relacji, czy też obrazu przeszłości oglądanego oczyma współczesnymi?

Odpowiedź na to pytanie nie jest tak prosta, jakby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać.

Decydują tu wyłącznie założenia twórcy. Gdyby Kubackiemu szło tylko o pokazanie widowni dzieł młodego człowieka, który częściowo z natury częściowo z miłości, częściowo z poczucia swej bezsilności w obliczu świata, na które nie może znaleźć żadnej rady, popełnia samobójstwo — nie mielibyśmy nic przeciw próbowi unowocześnienia. Jeśli jednak Kubacki postawił sobie ambitne zadanie krytycznego, w pewnym sensie rewizjonistycznego spojrzenia na romantyzm, jeśli chciał sztuki

*) Wacław Kubacki — „Krzyk Jarzębiny” opowieść dramatyczna w 3 aktach. Prapremiera w Teatrze Kameralnym.

kę swoją związać pośrednio z osobami Mickiewicza i Słowackiego — to „Krzyk Jarzębiny” musiał być tak właśnie napisany, jak się to stało.

Co mogło urazić „wrażliwe” ucho podłuchanego krytyka? Są w „Krzyku Jarzębiny” sceny takie, w których dialog jest tylko dlatego dialogiem, że brzmi to lepiej niż monolog. Autor sztuki pragnie wyłożyć widowni sposób pojmowania pewnych zjawisk społecznych. Zwolennikami tego poglądu są dwie osoby występujące w sztuce. Teorię mogłoby wyłożyć jedna z nich. Autor woli jednak rozłożyć ją na dwa głosy. Tak wyglądają niektóre rozmowy Ludwika Spitznagla z Konstantym Rdułtowskim. Taka rozmowa razi dziś jeszcze ucho szukające w teatrze naturalności.

A toż dopiero powiedzieć o początku 8-mej sceny III aktu?

Ludwik: Nagle pierzcha niebo spod nad głowy. Biblia mówi, że niebiosy zwiąją się w rolkę, jak suchy pergamin. To jest coś podobnego. Raptem jakby zwinęła się przestrzeń, w której dotąd się poruszaliśmy. Ziemia rozsława się pod nogami. Wszystko rozlatuje się, jakby z kuli ziemskiej zdjęto obrycze. I zostajemy w zupełnej pustce.

Laura: To musi być nieprzyjemne.

Ludwik: Najgorsze, że człowiek nigdzie nie leci i nie zapada się, tylko zawisa w jakimś niematerialnym przestworze. Lęka się i męczy. Chciałby spaść i roztrzaskać się, byle położyć kres męce. A musi wisieć i trwożyć się. Daremnie marzyć o losie Ikara! Wokół ziele otchłai próżni. Nie ma gdzie spaść. Nie ma o co się rozbić. Błędna gwiazda może się spalić i roz-



sypać w powietrze. A ja muszę trwać.

Laura: Straszne!

Ludwik: Oto co się ze mną stało przed momentem.

Przyjrzyjmy się temu fragmentowi. Spróbujmy skreślić „kwestie” wypowiedziane przez Laurę. Czy opowiadanie Ludwika stracił coś przez to? Absolutnie nie. A więc...

A więc powie ktoś: rozmowa jest sztuczna. Laura zabiera głos tylko po

to, by przerwać monotonię monologu, by usprawiedliwić swoją obecność na scenie.

Argumenty przeciw Kubackiemu gotowe: udialogowana teka dr Sowizdrzała.

Bo niechże ktoś powie: czy tak się rozmawia dziś, a nawet: czy tak się rozmawiało w roku 1827?

?

Odpowiedź na to wielomówna, pytająca i przedwczesnie drwiąca milczenie jest prosta: tak się pisało dramaty w r. 1827, w epoce romantyzmu. I to wszystko.

Odnosnie zacytowanego wyżej fragmentu dorzucić można, iż owe „niepotrzebne” słowa Laury są świetną jej charakterystyką. Cóż bowiem miała ona do powiedzenia wobec ogromu przeżyć, z których ani jednego momentu zrozumieć nie była w stanie? Kropka nad „i” to następne zdanie przez nią wypowiedziane: „Niech się pan uspokoi”.

Ani się pewnie spodziewa ów sarkastyczny dowcipniś, że jego słowa zmusiły mnie do tak długiej polemiki. Bóg z nim. Nie o niego mi idzie. Chcę stwierdzić: Sztuka Kubackiego, uwzględnivszy wszystkie jej założenia, napisana jest świetnie. Zachowuje ona niemal idealnie tonację utworów romantycznych i to jest jedną z jej największych zalet.

Drobne tylko zastrzeżenie: wydaje mi się, iż symboliczny krzyk jarzębiny, to „co stanowi społeczny sens sztuki, akcenty rewolucyjne wypowiedziane są językiem przypominającym nieco język współczesny.

nie rozwiązywanych teoriach, a z drugiej strony od bardzo sugestywnych ale z jednostką tylko związanych smartwień i przeżyć przeszłości do realnych prób załatwienia pewnych spraw konkretnych, obchodzących ściśle określoną, ziemską masę ludzką.



Czerwone jagody jarzębiny krzyczą o sprawiedliwość społeczną, wołają o poprawę bytu tych ludzi, którzy mieszkają w chatkach pod drzewami jarzębin. Krzyk jarzębina, bo ludzie o których idzie dopominać się o swoje prawa jeszcze nie umieją. Nie ma ich kto nauczyć. Swoi nie mogą. Obca im jest wiedza. To co się mówi o oświeceniu, sprowadza się do lektury starych gazet z sensacyjnymi historiami o synach. Obcy nie potrafią, bo są obcy... Piękne są idee Spitznagla, ale zbyt odcięte od rzeczywistości. Błądzą między chatką Joasi a Grecją, nie mogą sobie znaleźć oparcia.

Historia minionego stulecia podpowiada dalszy bieg sprawy. Cofamy się do źródeł. Do czasu, kiedy poczęła się ona rysować jako problem. Może uzewnetrzniła się tylko tu i owdzie. Ale istniała wszędzie, gdzie dojrzewająca jarzębina zajeżdżała do wnętrza chłopskiej chaty.

Przez cały, nie wszędzie jeszcze zakończony bieg tej sprawy przewijał się motyw bardzo ważny: sens jej, a z sensu sposoby rozwiązania, odkryć może tylko ten, co słyszał krzyk jarzębiny nie jako echo, lecz jako wyraz swego własnego bólu.

**

Realizacja tej jednej z najciekawszych naszych prapremier po wojnie

Jerzy Artemski

Nasz ruch wydawniczy

W kraju rozpoczęły się uroczystości ku czci J. Słowackiego. W związku z tym zapowiedziane są nowe wydawnictwa, które staną się trwałym dorobkiem roku Słowackiego i przyczynią się waleń do popularyzacji jego dzieł.

Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich ukaże się zbiorowe wydanie dzieł Juliusza Słowackiego, pod redakcją prof. J. Kleinera. Zostanie wydana antologia wierszy o Słowackim w opracowaniu prof. W. Hahna.

Państwowy Instytut Wydawniczy uświetni te uroczystości wydaniem powieści biograficznej o Słowackim, pióra Pawła Hertzka p. t. „Portret Słowackiego”.

W związku z tymi uroczystościami powinna być wydana najlepsza monografia wielkiego poety, dzieło prof. J. Kleinera.

Cenną pozycją byłoby wznowienie powieści Juliana Wołoszyny p. t. „Matka”, wydanie R. Wegnera.

Stanisław Podlewski

Powieść Żukrowskiego

(dokończenie ze str. 2-iej)

Nie w tej odpowiedzi jednak, ale w sile postawienia problemu, w wyrazistości doraźnej niemal konieczności rozstrząsania zrzędzeń Opatrzności Bożej tkwi najgłębszy „sensus catholicus” powieści Żukrowskiego. Nie wystąpiłby ten problem tak wyraźnie, nie byłby problemem tak żywym, gdyby nie te wszystkie właściwości, o których poprzednio mówiliśmy. Realizm przyrodzonego porządku zjawisk podkreślił realną, wyczuwalną niemal ingerencję zjawisk wyższego rzędu. Scena śmierci Maryni przedstawiona została tym samym zespołem środków, co scena łapania pchły przez Walerkę. I w tym obrzymia jej siła, a w sile tej źródło prawdy o rzeczach wiecznych i niezbadanych. W kontekście tak realnych sytuacji problem Opatrzności nie mógł być problemem abstrakcyjnym, musiał stać się i stał się problemem tak samo dotykającym niemal, tak samo konkretnym, jak problemy wyrażane językiem realiów. Nie znaczy to jednak zrównania dwóch porządków zjawisk. Zjawiska nadprzyrodzone zachowują swoją nieodgadnioną i nadludzkość, ale jednocześnie zyskują jakiś ziemski, ludzki, naturalny wyraz.

Szkoda tylko, że Żukrowski ograniczył się do negatywu. Szkoda, że próba tłumaczenia ks. Bazylego wypadła tak błado. Zdaje się, że powieści nie

wiele zaszkożdziły okrojenie trochę retyzycznego komentarza, a pomogłoby znacznie stworzenie wyraźniejszej sytuacji, tłumaczącej Opatrzność pozytywnym układem zdarzeń. Nie chodzi w tym biadoleniu ani o poprawianie świętego pisarza, ani o happy-end, ani o łopatologiczne wykłady teologii. Chodzi o uniknięcie nie zupełnie pozbawionych sensu podejrzeń o pesymizm, który jest przecież obcy duchowi chrześcijańskiemu.

Ale formułując tego typu zastrzeżenia musimy pamiętać, że właśnie wstrząsający tragizm niezrozumiałej śmierci Maryni przez swoją konkretność, okropność i niezrozumiałość tak jasno, jak żadna chyba z powojennych książek stawia problem naszych „chłunków z Opatrznością”. W sile postawienia tego problemu należy ująć główną wartość książki, a źródło tej siły — w wielkim trudzie i zwycięstwie artysty, który pokusił się o stworzenie rzetelnego dzieła realizmu katolickiego.

Zygmunt Liehniak

Czytajcie

„SŁOWO Powszechnie”

LESZCZ.

FILM

OPOWIEŚĆ O PRAWDZIWYM CZŁOWIEKU. Reżyseria: A. Stolper. Scenariusz: M. Smirnowa. Według powieści B. Polewoja. Produkcja „Mosfilm” 1948 r.

Czytelnicy „Zycia Warszawy” zapewne pamiętają drukowaną tam „Opowieść o prawdziwym człowieku”. Na tym właśnie opowiadaniu oparty jest film. Scenariusz został uproszczony przez odrzucenie artystycznych uczuciowych Mieriesjewa — jego stosunku do narzeczonej po utracie obu nóg. Przez to już całość problemu skupiona została na jego usiłowaniu powrotu do lotnictwa, a jednocześnie jego postać nabrała cech bardziej patetycznych.

Film ukazuje bohatera w trzech zasadniczych etapach. W czasie przedzierania się do linii frontu, w szpitalu i — na koniec — na lotnisku polowym w czasie akcji. Z tych trzech części jako osiągnięcie artystyczne wybija się na pierwszy plan część pierwsza. Zrealizowano ją wśród wspaniałych plenerów — nieprzebranych ośnieżonych lasów przez które czołga się lotnik w powrotnym drodze. Na specjalne podkreślenie zasługuje fotografia i oprawa dźwiękowa. Zarówno jedna, jak i druga cechuje umiar i oszczędność środków, a jednocześnie ich celowość. Statyczność krajobrazu podkreśla osamotnienie i jednocześnie — przez kontrast — uwypukla ruch Mieriesjewa. Oprawa dźwię-

kowa głównie polega na wykorzystaniu ciszy, która udratycznia opuszczenie zdanego na swoje siły człowieka. Rzadko słyszymy głos Mieriesjewa — ale i jego słowom nadano tutaj wielką siłę wyrazu (np. moment liczenia kroków). Pośród tego swoistą wymowę mają zdjęcia ukazujące nie ruch Mieriesjewa, lecz tylko jego ślady, które dają wyobrażenie wyczerpywania się sił fizycznych i ogromu wysiłku. Ekspresja ich i dramatyczność jest większa niż ekspresja i dramatyczność słowa. Jest to przykład rozwiązania czysto filmowego — wykorzystania walorów obrazu.

Z chwilą przybycia Mieriesjewa do szpitala i jego długiego tam pobytu zmienia się ujęcie tematu. Ciężar akcji przeniesiony jest na dialogi, zamiast przyrody widzimy charakterystyczne postacie jego towarzyszy szpitalnych. Mieriesjew pokonywa wszystkie trudności, powraca do lotnictwa, stacza zwycięskie walki powietrzne. Momentem przełomowym, w którym wierzymy w jego zwycięstwo jest doskonała scena tańca przed komisją lekarską. Gra Pawła Kadocznikowa w roli Mieriesjewa jest pełna wyrazu. Można grać mimiką twarzą, gestami rąk — ta rola wymagała imitacji kalectwa. Na podkreślenie zasługuje przewyciężenie przez Kadocznikowa nasuwających się trudności i uzyskanie naturalnej charakterystycznej sztywności przy poruszaniu się.

Wydaje się — potwierdziłaby to zapewne precyzyjniejsza aniżeli czyni to dorywczy recenzent obserwacja reakcji publiczności — że wielką wartością tego filmu jest jego doraźna strawność wychowawcza. Uderza, jeśli się podłucha rozmowę wychodzących z kina, że nie akcja ale sylwetki ludzi absorbują uwagę, że bohaterowie filmu działają bezpośrednio dostarczając wzoru do naśladowania. Realizatorzy tego filmu rozumieją, że większość ludzi, tych nawet, dla których kino jest rozrywką, mniej lub więcej świadomie przeżywają film przez utożsamienie siebie z bohaterami lub znalezienie konkretyzacji swoich marzeń w przedstawionych zdarzeniach. Rozrywka polega na złudzeniu przeżycia przygody. Taka często bardzo postawa stwarza możliwości działania wychowawczego przez kino. Są filmy, które kładą nacisk na interpretację zdarzeń. Opowieść o prawdziwym człowieku na pierwszy plan wysuwa gotowe, pełne, łatwe do zrozumienia wzory bohaterów pozytywnych. Realizatorzy filmu przez świadome uproszczenia stwarzają postaci, których postawa jest jednolita, nierozdrobniona w psychologicznych analizach i doskonale rozumiała. Wartość filmu polega na tym, że film prowokuje do naśladowania i dostarcza widzowi sylwetki ludzi godnych naśladowania.

Aleksander Rymkiewicz

Jeszcze o librettach

„Kiedy pisałem tę przedmowę, celem moim nie było jedynie jałowe doczekanie, czy wystawiłem w teatrze złą, czy dobrą sztukę; nie czas już potemu; ale roztrząśnięcie sumienia (a to powinienem zawsze) czy popełniłem czyn naganny”.

(Beaumarchais. Wesele Figara. Przed mową).

W numerze 14 Odrodzenia zaatakowali moje opracowanie libretta „Wesele Figara” Jarosław Iwaszkiewicz i „wielki miłośnik słowa i niestrudzony konsument prasy literackiej” (jak sam mówi o sobie) Włodzimierz Krzemiński. Ponieważ podwójny atak sięga bardzo daleko i pozornie interesując się moją pracą literacką wyciąga wnioski, mogące zaszkodzić całej mądrej akcji rozpoczętej przez Filharmonię Warszawską, czuję się zmuszony raz jeszcze zabrać głos, aby, ukazując pewne mechanizmy, swoje dotychczasowe doświadczenia nie poddać pod rozagę opinii publicznej. Upewniam, że znacznie bardziej wolałbym bronić nowego libretta któregoś z kolegów poetów, niestety dotąd nie zostały one ani ogłoszone, ani wystawione. Wobec tego, próbując zachować bezstronność, jako królika doświadczalnego użyję swojej, być może posiadającej wiele wad, pracy. A więc do tematu.

W. Krzemiński pisze, że w dawnym tłumaczeniu arii Cherubina jest „bardzo naiwna i bardzo niezręcznie wyrażona poezja”. Tutaj ośmieli się zacytować: „Ludwie wspomni mi ktoś o miłości, dreszcz przejmuję mnie do głębi mych kości...” (Aria Cherubina, akt I, dawne tłumaczenie). Konia z rzędem temu, kto mi wskaże, z której strony mam to czytać, żebym odczuł te poezje, a nie nagły przyływ wesołości.

Zastanawiałem się długo skądże ta wyrozumiałość dla „motylków skrzydlatych”, albo dla takich np. arii:

„Gdzież jest moja pociecho,
gdzie wysiwny nieziemski raj,
powróć dawne szczęścia echo,
albo biednej umrzeć daj,
albo biednej umrzeć daj”...

(początek aktu II, aria hrabiny, dawne tłumaczenie tegoż nieocenionego pióra).

Publiczność „głęboko żaluje, że po pierwszej strofie hrabina jednak nie umarła.

Dlaczego W. Krzemiński uważa, wbrew zdrowemu rozsądkowi i zasadom gramatyki, że dawny tekst „przylega ściśle do rytmu muzyki, a nie czepia się go mdło akcentami uzupełniającymi, słów”.

Spróbuję raz jeszcze zacytować: „Jeśli chcesz tańczyć, mój panie hrabio, to już do tańca zagram ci ja, to już do tańca zagram ci ja — tak, zagram ci ja — tak, zagram ci ja”... (aria Figara. Akt I, dawne tłumaczenie). Pytam raz jeszcze skądże ta łagodność sądów, ta wyrozumiałość, omal nie ojcowiska w wybaczeniu win niedobremu dziecku. Naprawdę ludzka dobroć nie ma granic. W liście swoim W. Krzemiński zaatakował mój przekład arii Figara z aktu I (scena 2), a Iwaszkiewicz wyznaje, że w nim także rodzą się pewne opory. Otóż tak się szczęśliwie składa, że aria ta posiada odpowiedni monolog w komedii Beaumarchais. Aby nie było żadnych wątpliwości, dotyczących wierności oryginałowi podaję ten monolog w doskonałym przekładzie T. Boya Zelenieckiego:

Akt I, scena 2. Figaro, sam.

„Czarującą dziewczyną, zawsze roześmianą, tryskającą życiem, pełną wesołości, dowcipu, miłości i rozkoszy, ale cnotliwą. (przechadza się żywo, zacieraając dłonie). O panie hrabio, mój drogi panie hrabio, chciałabym cię przystroić, po hrabsku. Zastanawiałem się też, dlaczego uczyniwszy mnie burgrabią, zabiera mnie z sobą do ambasady i mianuje kurierem. Rozumiem, panie hrabio: trzy promocyje na raz: ty, wiceministrem; ja, pędziwiatrem; Zuzia, gosposią pałacu, podręczną ambasadorową; a potem, w ewal, kurierze. Počas, gdy ja będę galopował w jedną stronę, ty, panie hrabio, ujedziesz z moją miłą ładny kawał drogi. Ja będę chłostał się w błocie i karku nadkręcał dla chwały twego rodu; pan raczysz laskawie przychylić się do pomnożenia mego. Cóż za wzruszająca wymiana usług. Ale, Excelencyjo, to już za wiele naraz. Złatwić w Londynie, jednocześnie sprawy swego pana i swego służącego; zastępować, przy dworze cudzoziemskim, wraz osobą króla i moją, to za wiele, to o połowę za wiele. Co do ciebie, obwiesiu Bazyl, mój synaczku, ja cię nauczę jak się gwizda po kościele, ja ci... Nie; trzeba grać komedję: jednego przez drugiego wystrychnąć na dudka. Baczność na dzisiaj, mości Figaro. Przede wszystkim, przyspieszyć godzinę ceremonii, aby, z tem większą pewnością, dobić do ołtarza; usunąć Marcelinę, która ma na ciebie

diabelny smaczek; spuścić do kieszeni złoto i podarki; wyprowadzić na manowce zachcianki pana hrabiego; wygarbować sumiennie skórę imć Bazylemu; wreszcie”...

A teraz aria napisana przez da Ponte w przekładzie granym przed rokiem we Wrocławiu:

Akt I, scena 2. Aria Figara.
Jeśli chcesz tańczyć mój panie hrabio,
Jeśli chcesz tańczyć mój panie hrabio,
to już do tańca zagram ci ja,
to już do tańca zagram ci ja — tak
Zagram ci ja — tak
Zagram ci ja.

A jeśli zechcesz u mnie się uczyć,
już ja cię skakać nauczę też,
a jeśli zechcesz u mnie się uczyć
już ja cię skakać nauczę też — tak,
nauczę też.

Już wiem, już wiem, już wiem, już wiem,
ostrożnie, cicho, cicho, cicho, cicho,
cicho, cicho,

grę moją kryjąc
odczytam wszystkim
z hrabiego kart,
Tu atakując, tam się cofając
pełną tutaj prosto, a tam znów z boku,
chyttrze zniweczę mu cały ten plan,
zniweczę plan
tu atakując tam się cofając
pełną tutaj z boku, a tam znów prosto
chyttrze
chyttrze zniweczę więc cały ten plan,
chyttrze zniweczę więc cały ten plan,
zniweczę plan,
zniweczę plan.

Jeśli chcesz tańczyć mój panie hrabio,
Jeśli chcesz tańczyć mój panie hrabio,
to już do tańca zagram ci ja,
to już do tańca zagram ci ja — tak,
zagram ci ja — tak
zagram ci ja.

Gdyby nie tytuł arii przysięgłbym,
że to śpiewa nie dowcipny, bystry Figaro,
ale jakiś ograniczony choć niezmiernie zarozumiały nauczyciel lekcji tańca lub fechtunku.

Tę samą arię, odrzucając prawie zupełnie tekst da Ponte, napisałem następująco:

Akt I, scena 2. Aria Figara.
Mój dobroczyńco, laskawy hrabio,
ambasodorze i excelencyjo,
gdy koń mój wzbije pył rudy z pół,
żonie ośrodzisz rozstania ból, hej,
z hrabiowskich sal, hej,
kurierze w dal.

Mój dobroczyńco, jakżeś laskawy,
wcielenie cichych i rzadkich cnót.
Twemu rodowi, przysporzę sławy,
ty zaś pomnożysz racysz mój ród, hej,
z hrabiowskich sal, hej,
kurierze w dal.

Lecz wiem i chcę i mam i znam swój plan,
powoli, cicho, cicho, cicho, cicho, cicho,
cicho.

twój wierny sługa,
laskawy hrabio,
pomysły ma.

Kto nie ma złota, sprytem zarabia,
kto nie ma sprytu, niech będzie hrabią,
świat równowagę ma, równa jest gra,
każdego dnia.

Więc pokrzyżuj swoje zamiary.
Bierz się do dzieła bracie Figaro.

Wiem już,
po pierwsze przyspieszę mój ślub,
dary zabiorę i posag też,
bracie Figaro, spryciarzu, tak zrób pomysł masz
i drogi znasz.

Kto stawia siła — wpadnie do dziury
więc Bazylemu wyłoje skórę,
aby pamiętać od tego dnia,
że niebezpieczna było to gra, tak,
intrygi chciał, hej,
w skórę wziął.

Wydaje mi się, że nie muszę udzielać żadnych komentarzy ludziom niezarozumionym złą wolą. Iwaszkiewicz woła, że „Wesele Figara” to jest wiek XVIII, a W. Krzemiński domaga się tłumaczenia „w stylu epoki”. Chcę gorąco potwierdzić oba zdania — właśnie dlatego odrzuciłem tutaj tekst da Ponte, a sięgnąłem do Beaumarchais. Obaj moi krytycy najostrożniej zaatakowali arię Cherubina z aktu I, uważając, że zwrot taki jak „Milcz serce me różowe, śnieżyście konwaliowe” jest współczesną zbrodnią włożoną w usta niewinnemu Cherubinowi z drugiej połowy XVIII wieku. Iwaszkiewicz podziwia prostotę i bezpośredniość dawnego przekładu tej arii: „Nie wiem sam, co wyprawia się ze mną, w oczach ciągle to jasno, to ciemno”... Po przeczytaniu podobnej opinii, zrozumiałem, że to na pewno nie ja zapomniałem o „stylu epoki”, ale głęboko kulturalny pisarz, biorąc zbyt szeroki rozmach w ataku, zapomniał, że to jest okres sielank, pasterek, baranków, ogrodów, pawilonów, że wtedy właśnie w poezji o miłości mówilo się przede wszystkim rozbudowaną aluzją, lub przypowieścią. Przecież w 4 scenie drugiego aktu komedii Beaumarchais znajdujemy „Piosnkę Cherubina”, której dwie strofy w przekładzie Edwarda Leszczyńskiego tutaj zacytuje:

„Hej, z wiatrami w przegony
(jakże serce, jak serce ukość).

— byle rzucić te strony —
nieś mnie koniu daleko.

Nieś mnie koniu daleko.

— Przy gaiku nad rzeką,
tam się żal mój dogonił,

(jakże serce, jak serce ukość).

byłm rzewliwie lzy ronil,
myśląc o mej jedynej”...

Beaumarchais w innej komedii swojej, w „Cyruliku Sewilskim”, w scenie 4 aktu III umieszcza piosenkę Rozyny. Są tam i „kwiateczki, owieczki” i „aż skacze serce” i „młoda pastuszka” i „ta jemna dróżka” i „prośby, przysięgi, westchnienia tkliwe, słodkie spojrzenia, pieśzoty żywe”. Taka to właśnie była epoka — ktoś wtedy ośmieliłby się tak mówić o miłości:

„Nie wiem sam, co wyprawia się ze mną,
w oczach ciągle to jasno, to ciemno,
co kobieta to nowe wzruszenie,
co kobieta to płonie mi twarz”...

Dlatego właśnie wprowadziłem do arii Cherubina i różę i konwalię (ta więc ogród) i strumień i dziewczynę, którą goni wiatr, i staw, i serce konwaliowe (z konwaliami naprawdę nie mam żadnych porachunków osobistych). Dlatego właśnie kolory są srebrne, białe, różowe. Bardzo żałuję, że nie dodałem jeszcze mostku, jakiegoś pawilonu i, chce się zażartować, nawet baranków.

Styl Ludwika XVI byłby wtedy w komplecie. Powstrzymałem się tylko przez wzgląd na współczesnego słuchacza, któremu naprawdę wydałoby się to zbyt słodkie. Zupełnie inną sprawą jest język poetycki. Wydaje mi się, że popełniłbym ogromny błąd starając się archaizować, pisząc tak jakby nigdy nie było rewolucji literackiej dokonanej przez Mickiewicza i Słowackiego. To nie byłaby liryka, ale potoczysta wymowa.

J. Iwaszkiewicz pisze, że te same zdania powtarzane kilkakrotnie w arii Cherubina są umotywowane muzycznie i psychologicznie jako natrętne myśli o kobiecie, które spokojnie nie dają młodemu paziłowi. Ślicznie, Figaro ma inne natrętne myślowe, a mianowicie: „zagram ci ja, zagram ci ja itd”. — czyli natrętne myśli wirtuoza, a hrabina jeszcze inne, a Zuzanna Bartolo. Przy końcu zaś każdej sceny zbiorowej wszystkich ogarniają naraz natrętne myśli na temat psychologicznie przygotowanej przez autora. Nie, to po prostu jest klajstrowanie dziur w tektwie. Muzyka też wraca, ale w coraz innych układach, słowa zaś w tych samych. Czasami zaś gdy było za dużo złożeń zdania wracają mechanicznie obcięte, aby dalej, aby szło.

W swoim liście J. Iwaszkiewicz zrobił dwa słuszne zarzuty, a mianowicie wskazał na pewną rozbieżność nastroju muzyki i słów w pierwszej strofie mego tłumaczenia arii Cherubina w akcie I (zgodzam się tylko w odniesieniu do pierwszej strofy) i na nieszczyśny zaimek w czwartej linii. Racja. Mniejsza o powody tych usterek. Jestem pewien, że zabrałoby palców w ręk i nog, gdyby chciał policzyć zaimki siłą wepchnięte w dawne tłumaczenie jednej tylko arii Figara wyżej przeze mnie zacytowanej.

Specjalnego smaku całej sprawie dodaje to, że obaj moi przeciwnicy, pisząc swoje listy do Odrodzenia, nie widzieli „Wesela Figara” wystawionego w Operze Warszawskiej, zgodny swój atak opierając na tekstach cytowanych przeze mnie w artykule wydrukowanym w numerze 12 Odrodzenia. A były to tylko dwie arie i połowa trzeciej. Iwaszkiewicz rzetelnie ograniczył się do krytyki tylko dwóch fragmentów jednej arii, natomiast W. Krzemiński, po szczerym przyznaniu się, że nie zna całego libretta, niefrasobliwie pisze właśnie o całości. Stąd wnioskuję, że niefrasobliwość ludzka także nie ma granic.

Rozpisałem się o tym wszystkim dosyć szeroko, gdyż sprawa jest ważna i wcale nie dotyczy tylko jednego libretta. Tak się złożyło, że właśnie mnie pierwszemu przypadła w udziale przyjemność włożenia kija w mrowisko. Pisał już nowe libretta inni poeci. Jakże to mają zrobić. Przede wszystkim powinni pamiętać, że świętością jest nie tylko muzyka wielkich kompozytorów, ale i dzieło literackie. Niestety doskonałe komedie, dramaty i poematy zostały zniekształcone w beceremonialnych przeróbkach operowych, dokonanych przez nieraz bliżej nieznaną osobę.

Jeżeli komu z pisarzy przypadnie w udziale nowe opracowanie libretta „Otella”, „Fausta”, lub „Eugeniusza Oniegina”, niech śmiało sięgnie do właściwego pierwowzoru literackiego i ogrzeje letnią wodę jakiegoś innego da Ponte. Wydaje mi się, że J. Iwaszkiewicz nieopatrznie wziął tłumaczenie na pisane przed trzema laty za stary mocny węgryz. Aleksander Rymkiewicz

MACIEJ JOZEF KONONOWICZ

W rocznicę odzyskania Gdańska

Popatrz Brunatny Smoku w plan:

trzysta pięćdziesiąt wiorst!

W marszu i słońce nie sprosta nam

na prost —

— na przelaj

na prost —

Cóż, że niemiecki hacken-reutz

pazury wtopił w Gdańsk?

— w ziemię go wdeptał ołów wojsk

— Milcz tam z obcych państw!!!

Łąd jest i niebo i Wisły szlak —

prędzej i silniej i dumniej!

Wpraw: crawl'em! crawl'em! — nie na wznak!

(Topieleom salut później...)

Starczyło jeszcze młodej krwi,

by pokryć weksel słów,

że Gdańsk-słowiański, Gdańsk — to my!

Był.

Przeпад!

Wrócił znów!

Brunatny Smoku, ryk twój — nie,

a nam znów będzie ciężej

(Heil Siegfryd... Niebelungenlied...)

o Jeszcze jedną legendę.

JAN BOLESŁAW OZOG

Nad szczątkami helmu

Zostal mu u nóg jaszczy i koń

i rzał w poprzęgu w śmierci siew.

Lizala ziemia krew,

jakby lizala z ręki broń.

Helm gdy zardzewiał, skroń

w blachy wycierał rosą drzew,

jakby mył z oczodolu brew

zamazaną w namuliskach błoń.

**

**

Blacho, pamiętaj płomień wsi,

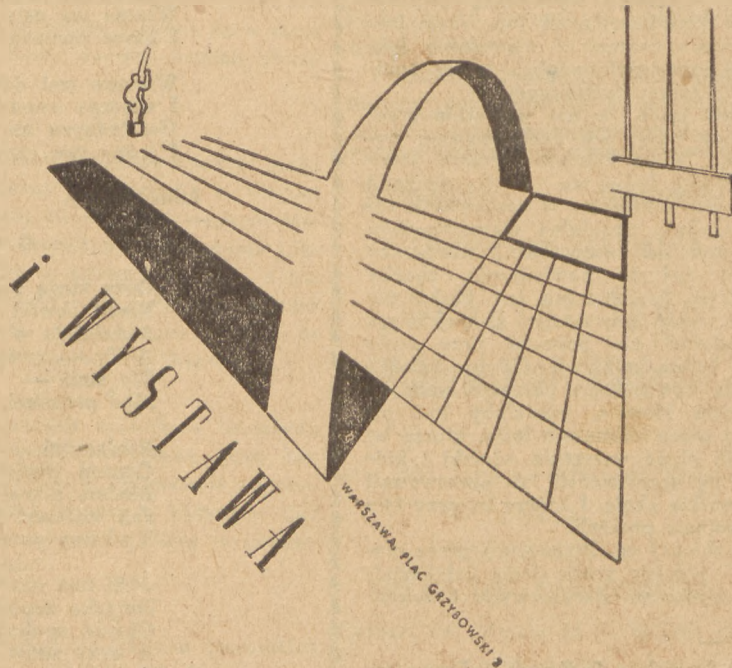
gest Burzy, Sten i twarz i płaszcz,

zielony szlak doliny, haszcz,

którędy partyzanci szli.

1948

WNETRZE



Karol Kornik

KSIĄŻKA DOKUMENT

„Dowódca Starówki mógł ustalić w przybliżeniu miesięczny bilans tragicznych walk powstańczych w murach staromiejskiej dzielnicy. W tym kotle było zamkniętych z górą 13.000 powstańców. Z tego około 1.500 uzbrojonym powstańcom udało się przejsz kanałami do Śródmieścia. 500 poeżło na Żoliborz. 2.500 ciężko rannych pozostało, zalegając podziemia, piwnice i schrony, bez możności ewakuacji. Większość z nich została wymordowana bestialsko przez Niemców. Około tyłuż było lekko rannych. Tak więc znalazło śmierć w murach i w walce o wolność z górą 6.000 powstańców. Stare Miasto, relikwiarz naszej stolicy, pantheon sławy i wolności, nie mniej niż 70.000 mogił zawarł w sobie”

Oto fragmenty ostatniego rozdziału książki Stanisława Podlewskiego.*)

Końcowe tragiczne podsumowanie trzydziestu dni zmagania z wrogiem.

Wracając dziś myślą, po pięciu blisko latach, do tych strasznych dni sierpniowych, nie sposób już przeżywać tego tak, jak przeżywalimy to w wszyscy w latach 1944, 1945 i później. Do wrażeń wyłącznie emocjonalnej natury doszły refleksje zgoła innego gatunku. Zbladły cierpienia i tęsknoty, a pojawiły się nowe problemy, które nam przyniosło odradzające się życie. Mamy obecnie znacznie więcej elementów do dyspozycji, przy pomocy których zmieniły się kryteria naszej oceny. Oczywiście zdajemy sobie wszyscy sprawę, że jeszcze za wcześnie na tzw. „perspektywę”, że ostatnie słowo wypowie dopiero po kilkunastu latach historia. Ale już obecnie formułujemy sąd względnie trzeźwe, zbliżone do obiektywnych.

Niestety dzieje się jednocześnie to, co zwykle w takich wypadkach ma miejsce: równoległe z owym trzeźwym ukojeniem nerwów i umysłów, zachodzi proces zapomnienia. Coraz mniej jest naocznych świadków, a i oni ulegają zgnębemu wpływowi czasu. Zacierają się kontury obrazów, milkną głosy, odchodzą ludzie.

Już dziś, zaledwie po czterech i pół latach, wszyscy, którzy pragną poświęcić się badaniu warszawskiego powstania, potykają się o katastroficzny brak dokumentów i materiałów.

Zanim więc przystąpimy do bliższego omówienia dwóch tomów „Przemarszu przez piekło”, należy podkreślić, iż sam fakt ukazania się książki, poświęconej tym sprawom, stanowi wydarzenie w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Już od pierwszej strony książki Podlewskiego można przypuszczać, iż autor „Piekła” usiłował się wzorować na Wańkowiczu. A i podobieństwo tematyczne jest uderzające. Zarówno Starówka jak i Monte Cassino przejdą do historii naszego narodu jako wspaniałe pomniki bohaterstwa bezmiernej ofiarności i czystego patriotyzmu. Ale podczas gdy Wańkowicz w ewej pracy miał do dyspozycji wszystkie niemal środki techniczne, które potrzebne są dziennikarzowi, mógł się swobodnie poruszać kontaktować z dowódcami i żołnierzami, mieć wgląd w mapy i dokumenty, podczas i po walce — Podlewski natrafił na mur przeszkód, nieomal nie do przebycia: śmierć jedynych świadków niektórych epizodów, tajemnice wynikające z przychylnym konspiracyjnym (np. rozszyfrowywanie nazwisk i ujawnianie faktów), nieprawdopodobne wręcz trudności natury technicznej.

Jest jasne, że nie wszystkie przeszkody udało się Podlewskiemu pokonać. Mimo kilkuset rozmów, które przeprowadził, nie mógł uniknąć fragmentaryczności w zestawieniu relacji. Było absolutną niemożliwością dotrzeć do wszystkich, którzy by mieli, coś do powiedzenia, choćby dlatego, że ogromna ich liczba nie przetrwała powstania; z niektórych oddziałów nie pozostał przy życiu ani jeden człowiek. Gdyby książka miała być pełnym obrazem walk na Starym Mieście, musiałaby być pisana przez kilkunastu ludzi, którzy by mogli objąć wszystkie odcinki i którzy by uczestniczyli lub obserwowali wszystkie akcje. I którzy by przy tym powstanie przeżyli.

I chociaż w „Przemarszu przez piekło” widzimy próbę dania całokształtu wydarzeń sierpniowych i rekon-

strukcji niektórych punktów niejasnych czy mało znanych, to jednak dostrzeżać się poważne luki przy jednoczesnym obszernym opisie faktów mało istotnych. Niejednokrotnie znanymi się w książce z nazwiskami i pseudonimami ludzi, którzy nic, względnie niewiele robili, a jednocześnie zabrakło w niej wielu głównych aktorów tych czterech tygodni.

Książka Podlewskiego stanowi bezcenny materiał dla przyszłych badaczy. Ale wykorzystywanie tego materiału będzie musiało być nader krytyczne. Mimo to jednak „Przemarsz przez piekło” obok wydawnictwa „Documenta occupationis teutonicae” (wyd. Instytutu Zachodniego), stanowi dotychczas pozycję najpoważniejszą. Podobno autor książki przebywał przez krótki tylko okres czasu na Starówce. Tak więc „Piekło” jest w dużym stopniu owocem przeżycia wirtualnego. Czytelnik nie ma co do tego ani przez chwilę wątpliwości. W książce są bowiem mniej lub więcej ściśle fakty, ale brak jest atmosfery Starego Miasta.

I dlatego wydaje się, że nawet gdyby Podlewski posiadał talent reportażysty Wańkowicza, to i wtedy, przy braku przeżytych bezpośrednich, miałby trudności poważne. Szkoda przy tym, że autor powstańczej historii Starówki wybrał dla swego reportażu formę literacką, która mu absolutnie nie „leży”. Tak więc prawdę sierpniowych dni 1944 roku i ich atmosferę próbuje on oddać przy pomocy słów palety, górnych i mocnych:

„... Dzika bestia w ludzkim ciele, krwawy siepacz, wyzuty z wszelkich uczuć ludzkich, wyprzedził w tym zbrodniczym procederze wielu profesjonalnych teutońskich zbrodniarzy... (str. 131).

... Naraz straszliwy świst tuż obok nich. Padają jak rażeni piorunem... (str. 154).

... Wściekły paroksyzm ognia i żelaza minął... (str. 164).

... Tak cudownie, na naszych oczach, przyoblekają się prorocтва

przypisywane jego osobie, jak Feniks z popiołów, z morza krwi, z hekatombi ofiar i kataklizmów dziejowych powstaje do życia Polska... (str. 248)

... a z piersi wyrwał się spazmatyczny ryk i przerażający krzyk... (str. 259).

... wokół straszliwe spustoszenia, jak gdyby jakiś straszliwy orkan przeszedł... (str. 293).

... Dym kłębi się i ślania, wdziera do szkieletów wypalonych kamienic i wypływa oczodolami okien... (str. 257, tom II).

Podobnych przykładów można by zacytować mnóstwo. Ten sentymentalizm i patos wywołują efekt odwrotny do zamierzonego. Same fakty byłyby już tak wstrząsające patetyczne, że kropka nad i chybia celu, niepotrzebnie drażniąc czytelnika. Do wręcz irytujących fragmentów zaliczyć należy cały rozdział „Ciche nocne rodaków rozmowy”.

Jeżeli już jesteśmy przy sprawach irytujących, dodajmy, że brak wygładzania stylistycznego i — przede wszystkim — bardzo zła korekta wpływają zasadniczo na obniżenie wartości książki. Można było np. uniknąć liczących, niezbyt może ważnych, ale przecież istotnych błędów (Na str. 161 w tomie I powstaniec pociąga za „cyngiel” zamiast za język spustowy, na str. 271, ktoś zagłębił się w czytaniu Huxleya: „Wielki wspaniały świat”, która w rzeczywistości nazywa się „Nowy wspaniały świat”, na str. 278 w tym samym tomie poeta Stanisław Ziemiński nazywa się Ziemiński itd., itd.)

Ala powróćmy do spraw zasadniczych.

W reportażu typu „Przemarszu przez piekło” trudno o trzymanie się zasady chronologii. Nieodzwonne są dygresje, przeskoki w czasie i przestrzeni, uwagi marginesowe itp. Konieczny jest jednak wyraźny, mocny szkielet konstrukcyjny, który by pozwolił na łatwe ogarnięcie całości obrazu walk powstańczych, losu dzielnicy i ludności cywilnej. Niestety u Podlewskiego spotykamy się często z przeskokami niczym nie

uzasadnionymi, przerywaniem akcji, chaotycznością. Tak np. obszernie opisane dzieje ojca Pawła są w pewnych momentach nieuchwytnie nawet dla uważnego czytelnika. Podobnie niejasno opisana jest afera majora Pełki.

Kiedy się czyta „Przemarsz przez piekło” i przypomina Warszawskie Powstanie, staje przed oczyma legion bohaterów, młodych kilkunastoletnich chłopców i dziewcząt, ale jednocześnie i ogrom bezmyślności i zbrodni. Obok ofiary bez granic i męstwa sięgającego ideałów heroizmu, rodziła się nęcza tchórzostwa. Obok talentów z bożej łaski widzieli się nieuctwo i nieudolność. Na tym małym skrawku stolicy, w ciągu jednego miesiąca, żelazo hartowało się lub topiło. Była to prawdziwa, nieklamana próba charakterów i ludzkich wartości. I dobrze się stało, że Podlewski nie przemilczał wszystkich nazwisk zdradźców i tchórzy, że obok postaci cudownych na miarę Emila Platera i Sowińskiego, pokazał ludzi typu „płka Juliusza, „płka Wiktora, oficerów Wrony, Rona i Jacka. Gdzie jest wielkość — tam jest i nęcza.

I kiedy się czyta tę książkę staje się jasne, dlaczego dotychczas nikt nie zdołał napisać udanego utworu literackiego o Powstaniu i że nie nakreślonego o nim filmu. Takie bogactwo wydarzeń, taka gama typów ludzkich długo jeszcze czekać muszą na mistrza, który by zdołał to zakląć w piękno.

Duch tych kilkunastu tysięcy żołnierzy, zamkniętych w murach Starego Miasta, był tak wspaniały, a wola walki tak mocna, że zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż słuszność mają ci, którzy twierdzą, że jedynie brak broni uniemożliwił wtedy zwycięstwo. I pewnie bliżej prawdy był ów korespondent niemieckiej agencji „Transocean”, którego cytuje Podlewski: „W ciągu pierwszych dwóch tygodni walki można było liczyć się nawet ze zwycięstwem powstańców”.

Na koniec jeszcze kilka uwag o książce.

Ogromną wartość stanowią w „Przemarszu przez piekło” spisy naz-

wisk i pseudonimów. Wiemy, że dzięki nim liczne rodziny dowiedziały się o swych najbliższych. Wydaje się jednak, że jeżeli korpus oficerski Starówki został przez Podlewskiego „przewertowany” dość dokładnie, to znacznie gorzej rzecz wygląda z szarym szeregowcem, zwykłym żołnierzem. To prawda, że łatwiej było o informacje o oficerach, których na ogół wszyscy znali, ale chwilami, odnosi się wrażenie, iż na Starym Mieście było więcej dowódców niż podwładnych (choć obraz ten nie jest znowu tak zupełnie błędny).

Szkoda, że do książki nie dołączono przejrzystej mapki dzielnicy staromiejskiej z naniesieniem na nią poszczególnych faz sytuacyjnych. Ułatwiłoby to czytelnikowi śledzenie przebiegu walk.

I wreszcie raz jeszcze należy wyrazić żal z powodu niestarannego stylistycznego opracowania książki i jej pseudoliterackiej formy. (Najlepiej wyszły Podlewskiemu rozdziały pisane lekko i niewymuszonym, np. „Tygrysy Woli na placu Bankowym” lub „Monachomachia czyli nowa wojna mnichów”).

Okładka „Przemarszu przez piekło”, kompozycji i rysunku Eryka Lipińskiego — niejasna. Przedstawiono na niej postać powstańca, brnącego w kanale z podniesionymi rękoma. Powstaniec istotnie trzyma ręce do góry, ale istnienia kanału można się tylko domyśleć...

Stanisław Podlewski zapowiada obecnie dalsze prace o Powstaniu. Na pierwszy rzut pójdzie historia zmagania Żoliborza, pod tytułem „Rapso dia Żoliborka”. Oczekujemy na tę pracę z największym zainteresowaniem, wierząc, że ona, w równym stopniu jak i „Przemarsz przez piekło”, przyczyni się do udokumentowania i utrwalenia pamięci tego wspaniałego zrywu stolicy jakim było Powstanie 1944 roku.

Karol Kornik

P. s. Recenzja powyższa nie może być oceną pełną. „Przemarsz przez piekło” powinien doczekać się wyczerpującej krytyki historyków i wojskowych.

K. K.

Józef Hertel

Wiersze

G O T Y K

Z myśli jesteś stworzony.
Ściany twe barwy myśli — młodzieńcze.
I ciężar, kształt, lot — myśli.

Masz wielkie żrenice
Na cały dzień jasny,
Na całą tajemną noc.

Jedno jest życie błogie:
Wieże białe rąk
Śpieszą na spotkanie z Bogiem.

R E N E S A N S

Zmartwychwstają Fidaszowe dłonie,
Po uderzeniu w słońca wielki gong —
Boskiej Ateny złoty promień
Odnalazł się — w podaniu dziewczęcych rąk.

Wiosna wybuchła kwiatów ustami,
Miliony jej ramion zakwitły śpiewem.
Wiosna ma usta i my usta mamy
I nasze ramiona wiosny drzewem.

Wieczne jest dojrzewanie ludzkich ust.
I wieczne owoce ziemskich ramion:
Ust jednych nie starczy byś miłość nioś!
I jedne twe ramiona nie staną.

Łódź, 1948 r.

O C Z Y M O G A

Oczy mogą być światłem;
Kiedy obwód spojrzeń zamkniemy —
Akumuluję w oczy Twe,
A Ty — swojemi —
We mnie —
Moc promieni.

Rozłożeni —
Oczami wspieramy ciemność
Biedne, szarość i cienie:
Jak umiemy, najprościej —
Kochamy przedmiot każdy i stworzenie.

Jeśli noc oczom kolor niemy
Da jako zapłatę —
Obwód spojrzeń zamkniemy
A oczy znów będą światłem.
A. M. 1947 r.



ZGON I POGRZEB
KS. KARDYNAŁA DR.
AUGUSTA HLONDA
PRYMASA POLSKI

Zdjęcie powyższe przedstawia okładkę pamiątkowego albumu, który wydała Rada Prymasowska Odbudowy Kościołów Warszawy. Dochód przeznaczony jest na odbudowę kościołów stolicy.

Zamówienia i wpłaty a zł. 200.— kierować prosimy na adres Warszawa, ul. Nowogrodzka 49, konto PKO I 4917. Jesteśmy pewni, że album ten znajdzie się w każdym domu.

* Stanisław Podlewski, „Przemarsz przez piekło” (tom I—II), wyd. M. Fukuiewicz i S-ka, Warszawa, 1949.

TYDZIEŃ KULTURALNY

INAUGURACJA ROKU JULIUSZA SŁOWACKIEGO

DNIA 9 bm. w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie odbyła się uroczysta akademicka, inauguracyjna Rok Juliusza Słowackiego. Na akademii przemówienie okolicznościowe wygłosił Prezes Rady Ministrów J. Cyrankiewicz. Po przemówieniu Premiera, Kazimierz Wyka wygłosił odczyt o J. Słowackim. W części artystycznej utwory Słowackiego recytowali artyści PTP.

DZIAŁALNOŚĆ KOMITETU WYKONAWCZEGO ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO

KOMITET wykonawczy obchodu 150-tych rocznicy urodzin Adama Mickiewicza opublikował sprawozdanie z dotychczasowej swej działalności oraz z prac, będących w toku. Sprawy wydawnicze. Najważniejszą pozycją wydawniczą: Narodowe wydanie dzieł Mickiewicza, opóźnione ze względów technicznych, ukazuje się już w najbliższych tygodniach. Ukazały się: „Studia Mickiewiczowskie“, obejmujące prace prof. prof. Borowego, Kubackiego, Łempickiego i in. oraz wielką monografię prof. Kleinera pt. „Mickiewicz“.

Komitet mickiewiczowski rozesłał w teren oraz za granicę około 40.000 reprodukcji portretów Mickiewicza wg obrazów Rodakowskiego i Horowitza. W początkach maja PZWS wydadzą w nakładzie 1.000.000 serię pocztówek z podobizną wieszczą wg portretu Horowitza. Ponadto poczta wyda serię znaczków pocztowych z podobizną wieszczą wg projektu prof. Gronowskiego.

Komitet wydaje w nakładzie 25.000 egzemplarzy rozprawę Mieczysława Jastruna p. t. „Poeta Wolności i Bractwa“, która stanie się jedną z najważniejszych pozycji mickiewiczowskich.

Opracowano ramowy plan obchodów mickiewiczowskich na terenie całego kraju. Wszystkie akademie i obchody w terenie mają uzgodniony i kontrolowany program.

Z większych imprez o charakterze centralnym Mieczysław Jastrun przygotowuje mickiewiczowski montaż sceniczny, który po raz pierwszy wystawiony zostanie w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie po czym zespół artystyczny objadzie z nim większe miejscowości w kraju.

Projektuje się wystawienie „Dziadów“ przez Leona Schillera w Państwowym Teatrze Polskim w nowej inscenizacji. Teatry na terenie kraju przygotowują inscenizacje i montaż mickiewiczowskie, które wystawione zostaną na jesień. Wiele z nich już odbyło się. Teatr Rapsodyczny w Krakowie wystawia obecnie „Pana Tadeusza“, z którym wyruszy w objazd po kraju.

Planuje się wystawienie dwu wielkich imprez na powietrzu, które przeznaczone będą dla najszerzego mas społeczeństwa. Będą to „Żywe szachy“, wielkie widowisko w strojach XIX wieku, z pochodzących Filomatów i Filaretów, ze specjalnie napisanym baletem i muzyką. Drugim widowiskiem będzie „Noc czterech wieszczów“ na Wiśle — Mickiewicza, Chopina, Słowackiego i Puszkina. Widowisko to wystawione będzie na brzegach Wisły i składać się będzie z żywych obrazów oraz z wyjątków ich dzieł.

W dniu 1 czerwca r. b. zostanie otwarta w Muzeum Narodowym w Warszawie Ogólnopolska Wystawa Mickiewiczowska. Wystawa po-

dwumiesięcznym pobycie w Warszawie zostanie przewieziona do Krakowa, a następnie do Wrocławia i Poznania.

Poza Ogólną Wystawą Mickiewiczowską zostaną zorganizowane cztery duże wystawy objazdowe, przeznaczone dla miast powiatowych i miejscowości wypoczynkowych. W dniu 1 czerwca r. b. wyruszą one z czterech punktów kraju: z Warszawy, Krakowa, Poznania i Wrocławia w objazd po kraju.

Jednym z poważnych elementów obchodów mickiewiczowskich stanie się odbudowa pomników Mickiewicza, zniszczonych przez hitlerowski okupant. W Warszawie zawiązał się już Komitet Budowy Pomnika Adama Mickiewicza. Dawny pomnik Mickiewicza, dłuta Godebskiego odbudowany zostanie jeszcze w roku bieżącym. Wzniesione będą pomniki wieszczą w Krakowie i w Poznaniu.

WYSTAWA KU CZCI PUSZKINA

KOMITET Organizacyjny Obchodu 150-tych rocznicy urodzin Aleksandra Puszkina przygotowuje w ramach obchodu Wystawę Puszkiniowską.

Wystawa ta ma być połączoną z Wystawą Mickiewiczowską, której termin otwarcia wyznaczono na 30 maja r. b.

Materiały do wystawy stanowiąc będą zarówno rozmaite wydania Puszkina, jak i publikacje, dotyczą-

ce jego osoby (również w obcych językach), pamiątki, związane z jego życiem, dzieła sztuki w zakresie rzeźby i malarstwa, ewentualnie fotografie, wydawnictwa muzyczne itd.

Mając na uwadze jak najobszerniejsze zgromadzenie eksponatów wystawowych, Komitet Organizacyjny Obchodu 150-tych rocznicy urodzin Aleksandra Puszkina zwraca się z gorącym apelem do wszystkich bibliotek, instytucji, jak i wszystkich obywateli, w których posiadaniu znajdują się wyżej omawiane materiały — o zgłaszanie ich z możliwie najdokładniejszym opisem (wydawnictwa — tytuł, autor, miejsce i rok wydania, format, ilość stron; artykuły — numer i rocznik czasopisma).

FESTIWAL MUZYKI LUDOWEJ

ZAKROJONY na skalę ogólnokrajową festiwal muzyki ludowej rozpocznie się w Warszawie dnia 8 maja i trwać będzie do 20 maja. Program przewiduje 20 koncertów muzyki ludowej, które będą trojakiego rodzaju. Jedne obejmą folklor w formie możliwie bliskiej prymitywu, drugie — pieśni o tematyce ludowej, opracowane przez kompozytorów, trzecie wreszcie — kompozycje przetworzone z muzyki ludowej lub natchnione przez folklor.

W wykonaniu koncertów wezmą udział wszystkie filharmonie pol-

skie, orkiestry Polskiego Radia oraz zespoły amatorskie — chóralne i orkiestrowe.

Festiwal rozpocznie się w sali „Romy“ w Warszawie koncertem zespołów ludowych — śląskiego, kieleckiego, podhalańskiego i wielkopolskiego oraz drugim tegoż dnia koncertem kantatowym w wykonaniu orkiestry, chóru Polskiego Radia i solistów. W następnych dniach przewidziane są w Warszawie: Koncert Pieśni Masowej, koncert kameralny, poświęcony twórczości współczesnych kompozytorów polskich, koncert zespołów ludowych dla młodzieży szkolnej, dwa koncerty chórów i zespołów ludowych (z udziałem chórów Warszawy, Łazisk Górnych, Katowic, Krakowa i Częstochowy oraz zespołów ludowych kurpiowskiego, Ziemi Lubuskiej, góralskiego i lubelskiego).

Program festiwalu przewiduje poza tym w Warszawie: koncert symfoniczny pod dyrekcją A. Panufnika, koncert chórów z udziałem dwóch chórów poznańskich oraz chóru krakowskiego, Koncert Polskiej Pieśni Ludowej w wykonaniu chóru „Harfa“ (Warszawa) i chóru Tow. Muzycznego w Poznaniu oraz solistów, wreszcie drugi koncert kantatowy w wykonaniu orkiestry i Chóru Polskiego Radia oraz solistów.

Dalsza część festiwalu odbędzie się w dn. 16.V. w Krakowie, 17.V. w Katowicach, 18.V. w Warszawie

(Koncert Polskiej Pieśni Masowej), 19.V. w Poznaniu, 20.V. w Krakowie, 21.V. w Łodzi, 22.V. w Sopocie, 23.V. w Bydgoszczy.

Zakończenie festiwalu nastąpi w Katowicach dnia 29.V. Koncertem Pieśni Robotniczych, masowych z udziałem orkiestry i chórów, liczących ogółem około 1.000 osób.

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA „OSSOLINEUM“

NAKŁADEM wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu ukazało się ostatnio 30 pozycji o nakładzie łącznym blisko 319 tysięcy egzemplarzy.

Ze wznowień wyczerpanych tomików Biblioteki Narodowej ukazało się 30 prac o nakładzie 78 tys. egzemplarzy, w tym „Barbara Radziwiłłówna“ — Felińskiego, „Powrót posła“ — Niemcewicza, „Kordian“, „Lilla Weneda“ i „Ballady na“ — Słowackiego, „Pieśni“ — Kochanowskiego i inne.

Z prac naukowych, z działy opracowań literatury polskiej ukazał się pierwszy i drugi tom „Wyboru pisarzy ludowych“ — Pigionia, tom pierwszy i drugi Inwentarza rękopisów biblioteki „Ossolineum“ oraz trzeci rocznik Zakładu Narodowego im. Ossolińskich pod redakcją M. Jakóbca, zawierający 21 rozpraw i duży materiał ilustracyjny.

Z serii powieściowej wyszły: nowela Łozińskiego: „Madonna Bułowa“ i „Wspomnienia ossolińskie“ — St. Łempickiego.

Z podręczników wydano w dwóch nakładach: „Zasady pisowni polskiej“ Jodłowskiego i Taszyckiego, „Elementa latina“ — Skiminy, „Zarys dziejów literatury polskiej“ — Kleinera, „Gramatyka języka polskiego“ — Splawińskiego i inne.

Ponadto w ostatnim czasie ukazało się w druku 15 pozycji, w tym „Wybór Książnica“ — w opracowaniu Borowego, wznowione „Treny“ i „Odprowa posłów greckich“ — Kochanowskiego, Słowackiego „Beniowski“ i „Powieści poetyckie“ oraz „Średniowieczna poezja polska świecka“.

W druku znajduje się: „Śląsk“ — Stecyńskiego w opracowaniu Pajczkowskiego, bogato ilustrowana oryginalnymi rysunkami „Historia społeczna i gospodarcza średniowiecza“ — S. Ingłota i „Drzeworyt w czasopiśmie polskich XIX stulecia“ — M. Opalka.

W planie na najbliższy okres wydawnictwo przygotowuje „Dzieła wszystkie“ — Słowackiego — jedno dwunastotomowe wydanie popularne pod redakcją J. Krzyżanowskiego, drugie wydanie naukowe w 16 tomach w opracowaniu J. Kleinera.

Ponadto w bieżącym roku „Ossolineum“ przygotowuje 80 pozycji z zakresu nauk humanistycznych.

Rok Chopinowski 1949

W KRAJU

W Bydgoszczy urządzony został wieczór chopinowski. Na program wieczoru złożyły się prelekcja prof. Lubiatowskiego o twórczości Chopina i referat ob. Biedrzyckiej o znaczeniu „Roku Chopinowskiego“. Na część artystyczną złożyły się utwory Chopina w wykonaniu prof. Z. Drzewieckiego i J. Pankiewiczówny oraz pieśni odśpiewane przez M. Maculewiczównę.

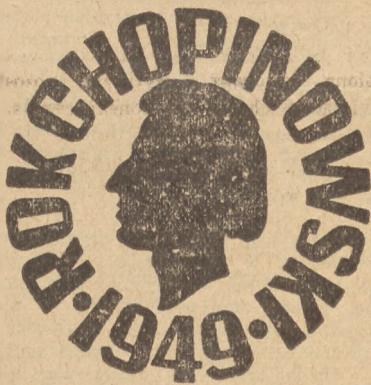
Artyści poznańscy prof. E. Dawidowicz, J. Zaklińska i J. Seremak wystąpili w WAGROWCU (woj. poznańskie) z 4-ma koncertami chopinowskimi dla świata pracy i młodzieży szkolnej. Wszystkie koncerty cieszyły się dużą frekwencją.

Artyści występowali bezinteresownie.

W gmachu Akademii Lekarskiej w GDANSKU odbył się koncert chopinowski zorganizowany przez studentów dla studentów i świata pracy. Po słowie wstępnym studenta Osowieckiego pianista J. Selużycki odegrał młodzieżowe utwory fortepianowe Chopina zaś międzyuczelniany chór akademicki pod batutą prof. Tylewskiego wykonał pieśni Chopina oraz pieśni ludowe, które wywarły duży wpływ na twórczość wielkiego kompozytora.

Z inicjatywy Komitetu Roku Chopinowskiego w ŁODZI odbył się w sali łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej kameralny koncert muzyki chopinowskiej. Wykonawcami koncertu byli Irena Dubiska (skrzypce), Maria Wilkomirska (fortepian) i Kazimierz Wilkomirski (wiolonczela). Również przez Komitet Roku Chopinowskiego zorganizowany został w Centralnym Domu Kultury Robotniczej w Łodzi koncert przeznaczony dla robotników Państwowych Zakładów Przemysłu Bawelnianego Nr. 1. Wykonawcami koncertu byli M. Wilkomirska (fortepian), A. Wiñarska (śpiew), W. Raczkowski (akompaniament) i R. Iżykowski (prelekcja).

Nakładem Instytutu Fr. Chopina ukazał się portret Fr. Chopina, będący



powiększeniem ówczesnego dagerotypu. Jedynej znanej fotografii z ostatnich lat życia genialnego kompozytora.

Szkoła umuzykalniająca im. St. Moniuszki we WROCŁAWIU podjęła akcję koncertów chopinowskich we wrocławskich zakładach pracy. Ostatni koncert tego rodzaju odbył się w świetlicy Państwowego Zakładu Higieny we Wrocławiu. Solistką koncertu była prof. M. Halber-Cywiakowa. Prelekcję o twórczości Chopina wygłosiła prof. Kopacewicz.

W muzeum Ziemi Kujawskiej we WŁOCŁAWKU urządzono gablotę poświęconą pamięci Fryderyka Chopina. Gablotka zawiera liczne pamiątki po genialnym twórcy.

ZAGRANICA

W MEKSYKU odbyło się uroczyste otwarcie wystawy pięćdziesięciu czterech plakatów nadesłanych na konkurs zorganizowany przez Meksykański Narodowy Komitet Chopinowski. Na plakatach brzmiał: „Hold Meksyku dla Chopina — Wielkiego Artysty i Patrioty Polski“.

Na otwarciu byli obecni Emilia Portes Gil przewodnicząca Komitetu, były prezydent Meksyku, który wręczył nagrody konkursowe, architekt Carlos Obregon Santacilla, który przemawiał w imieniu Komitetu, Blas Calindo dyrektor Konserwatorium, Luis Dela Rosa przewodniczący meksykańskiego radia oraz wiele osobistości ze świata kulturalnego. Prasa meksykańska poświęca wiele miejsca wystawie.

Francuski Komitet Organizacyjny Roku Chopinowskiego zwołał konferencję prasową, na której członkowie tego Komitetu zapoznali zebranych dziennikarzy z postępiami prac Komitetu, pozostającego pod protektoratem Prezydenta R. F. Vincenta Auriola. Konferencję przewodniczyli prezes Komitetu znana pianistka francuska Małgorzata Long i wiceprezes Pierre Bloch.

Komitet dzieli się na 7 komisji. Komisję muzyczną, która organizuje szereg imprez i koncertów w Paryżu w ciągu maja i października, komisję wystawową, która przygotowuje wystawę chopinowską w Paryżu oraz w Strasburgu z okazji międzynarodowego festiwalu muzycznego, komisję wydawniczą, która przygotowuje Złotą Księgę z wypowiedziami najwybitniejszych przedstawicieli francuskiego świata naukowego oraz popularną broszurę o Chopinie, komisję plastyczną, która zajmie się projektowaniem afiszów, medalionu i znaczków; Komisję szkolną i młodzieżową; komisję decentralizacji, której zadaniem jest inicjowanie obchodów w całej Francji i która projektuje m. in. obchód w Nancy i wyjeżdżając do Nohant, gdzie obchód odbędzie się w domu George Sand; wreszcie komisję propagandową.

18 kwietnia odbył się pierwszy popularny koncert chopinowski w wielkiej sali pałacu Chaillot. Towarzystwo Muzyki Kameralnej poświęcił muzyce Chopina jeden ze swoich wieczorów, a Ludowe Towarzystwo Szerzenia Kultury Muzycznej włączy utwory Chopina do programu tegorocznego koncertu.

Na prowincji największą inicjatywę wykazał dotychczas Orléans, gdzie projektuje się wierne odtworzenie ostatniego koncertu Chopina w Paryżu w 1849 r. oraz urządzenie wystawy w bibliotece miejskiej.

We wszystkich szkołach francuskich rozpisaną zostanie konkurs rysunkowy na tematy chopinowskie, a nagrodzeni uczniowie pojadą do Polski.

Nowość! Nowość!

DAPHNE DU MAURIER

„Generał Jego Królewskiej Mości“

powieść

str. 384 format duży, zł 900,—

— poleca —

KSIEGARNIA

ZDZISŁAW GUSTOWSKI

Poznań, Św. Marcyn 34 — Wielka 10

DO NABYCIA

we wszystkich księgarniach w Polsce

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Quo vadis domine?

Artykuł Jana Dobraczyńskiego pod tytułem „Quo Vadis — po 52 latach” zamieszczony w Nr 12 „Dziś i Jutro” nasunął mi następujące uwagi:

Wydało mi się, że wspomniany artykuł wybija drzwi otwarte głosząc tezę, że powieść „Quo Vadis” nie jest i nie miała być apologią wczesnego chrześcijaństwa, ani też nie reprezentuje ideologii chrystianizmu.

Zresztą autor nie przytacza ani jednego głosu w literaturze, który by twierdził coś przeciwnego. Nie tylko treść, ale także spokojny i plastycznie rzeźbiony styl tej powieści nie nadaje się na narzędzie bojowej propagandy. Użytymi w tej powieści środkami ekspresji wśród których czujemy się, jak wśród rzeźb greckich, Sienkiewicz raczej wprowadza nas w stary upadający świat pogański, niż w nowy świat rodzący się chrystianizmu.

Cała zasługa Sienkiewicza polega właśnie na tym, że pisząc „Quo Vadis” nie zrobił świata prezentu z dzieła tej lub innej propagandy, ale dał nam wspomniany, z wielkim artystycznym wykonaniem obraz tej epoki starożytnego Rzymu, w której młody chrystianizm się pojawił poczynając żyć, cierpieć i zwyciężać.

Dla oceny wartości jego dzieła ważne jest tylko czy obraz ten jest artystycznie piękny i czy wiernie odtwarza omawianą epokę.

Artystycznie piękna nikt dotąd mu nie odmówił. Czy jednakże odznacza się także historyczną wiernością?

Autor artykułu poświęca tej kwestii bardzo wiele uwagi nie ujmując jednak, moim zdaniem, tego zagadnienia z właściwego punktu widzenia. Wydaje mi się, że dla każdej powieści historycznej, a zwłaszcza tej, której akcja odbywa się w epoce tak oddalonej, nie jest ważne, czy postać historyczna podobna jest do swego historycznego prototypu, bo tego nawet przy pomocy całego arsenału ścisłości historycznej stwierdzić niepodobna. Zadaniem powieściopisarza jest zobrazowanie ducha epoki i zmagających się w niej prądów. A zatem nie chodzi wcale o to, czy Neron był w rzeczywistości opasły, czy nieco szczuplejszy, czy miał twarz odróżniającą, czy też „powabną dla gminu” (te określenia mogą nie zawierać sprzeczności), czy Petroniusz był tym Petroniuszem, który napisał „Uczte Trimalchjona”, czy też inny itp.

Natomiast ważne jest, czy w postaciach Nerona i Tygellina wiernie zobrazowana została dekadencja ówczesnego rzymskiego cesarstwa, w postaci Petroniusza sceptycyzm, ale zarazem i piękno ginącego pogańskiego świata, czy w postaciach obu apostołów i Kryspusa znalazł właściwy wyraz duch rodzący się chrześcijaństwa, a raczej dwa jego prądy, które długo w nim potem obok siebie płynęły: jeden bezwzględny w stosunku do życia doczesnego i jego zmysłowych popędów, znajdujący oparcie w słowach Chrystusa „A kto nie dźwiga krzyża swego a idzie za mną nie może być uczniem moim”, a drugi, dobrotliwy nie potępiający lecz uszlachetniający naturalne popędy, wywodzący się od Chrystusa, który błogosławił miłości między mężczyzną i kobietą i zamieniał wodę w wino na godach w Kanie Galilejskiej.

Pozostaje zagadnienie wprowadzenia do powieści postaci Winicjusza i Ligii i oparcia fabuły powieści na romantycznej pojętej miłości między kobietą i mężczyzną.

Ażby je rozwiązać autor artykułu uważał za konieczne skonstruować tezę o konflikcie wewnętrznym w duszy

Sienkiewicza i pewnego rodzaju rozdwojeniu jego osobowości.

Sklonność do komplikowania zagadnień psychologicznych może być niekiedy zaletą u powieściopisarza. Przypiszę ona bowiem tematowi, przyczynia się do jego pogłębienia i jest na ogół źródłem, z którego wytryskają nader interesujące typy psychologiczne, spotykane czasami, chociaż rzadko, także i w życiu rzeczywistym.

Gdyby naprz. Sienkiewicz był postacią w powieści Dobraczyńskiego, to w świetle tej psychologicznej komplikacji przedstawiałby się bardzo interesująco. Natomiast u krytyka literackiego którego zadaniem jest wykrycie rzeczywistego stosunku autora do jego własnego dzieła skłonność ta jest wielką wadą.

Zagadnienie Winicjusza i Ligii, a jednocześnie zagadnienie miłości romantycznej w twórczości Sienkiewicza przedstawia się, moim skromnym zdaniem, znacznie prościej.

Analizując motywy kierujące pisarzem za mało uwagi poświęcamy dążeniu do osiągnięcia poczytności.

Tymczasem motyw ten bywa niekiedy decydujący nawet w zakresie twórczości naukowej.

Askenazy naprz. osiągnął swoje wysokie stanowisko w hierarchii historyków przeważnie dzięki poczytności swoich dzieł, której składał wielkie ofiary z walorów naukowych. Dzieło naukowe zachowuje swoją wartość i pożytek nie będąc poczytne, ale najbardziej wartościowa powieść nie spełnia swego zadania jeżeli nie jest czytana, przez szerszą publiczność.

Oparcie fabuły nieledwie wszystkich powieści Sienkiewicza na idealnie pojętej miłości do kobiety należy, moim zdaniem, przypisać dążeniu do poczytności. Sienkiewicz jako świetny a dotąd niedoceniony psycholog, i wyrażając się słowami samego Dobraczyńskiego „jako rzeczny odbiorca nastrojów społeczeństwa” zrozumiał, że współczesny mu pozytywizm nie odpowiadał romantyzmowi polskiej duszy spotęgowanemu szlachectwem jej kultury. Ten romantyzm pomimo wszystko wypierany z polityki i stosunków społeczno-gospodarczych mógł znaleźć jedyny upust w romantycznie pojętej miłości do kobiety. Stąd powstały owe typy rozkończonych Skrzetuskich, Kmiciców, Włodkowickich, Winicjuszków.

Sienkiewicz nie tylko się w nich nie

„wyżywał”, jak twierdzi Dobraczyński, lecz szukał rehabilitacji za te ukłony w stronę publiczności tworząc typy takich sceptyków, jak Petroniusz i takich kpiarzy, jak Zagłoba. W nich się właśnie poniekąd wyżywał rewanżując się publiczności za swój autorski oportunizm, do którego go zmuszała przez swoje romantyczne usposobienie.

Wypowiadając to przypuszczenie nie chcę wcale twierdzić ażebyśmy postaci Winicjusza i Ligii zawdzięczali wyłącznie oportunizmowi autorskiemu.

Przeciwnie. Gdyby ich nie było to obraz ówczesnej epoki, a w szczególności obraz chrześcijaństwa byłby niekompletny.

Owczesnemu chrześcijaństwu brakowałoby ciągłości i powiązania z naszą epoką. Pierwsi chrześcijanie pomordowani w cyrkach wydawały się musieli ostatnimi chrześcijanami.

Mielibyśmy wówczas przed sobą tylko to chrześcijaństwo, które wówczas zrobiło sobie drogę jako rwący górski potok, ale brakowałoby nam tego, które ujęte w historycznej perspektywie rozlało się w wielkie spokojne jezioro i w tej postaci pozostało nam w spadku z tamtych czasów. Mielibyśmy tylko tych chrześcijan, którzy pragną umierać za wiarę, ale brakowałoby nam tych, którzy wprowadzić pragną osiągnąć zbawienie wieczne i starają się unikać wszystkiego co by temu mogło stanąć na przeszkodzie, lecz woleliby dostąpić tego szczęścia nie zaraz, raczej jutro niż dzisiaj, a najlepiej po długim i szczęśliwym życiu tu na ziemi.

Dobraczyński nazywa to „mniejszym” chrześcijaństwem i zarzuca Sienkiewiczowi, że „dramat człowieka, który kontentuje się „mniejszym” chrześcijaństwem nie pojawia się w ogóle w Quo Vadis”.

Mój Boże! Gdyby dziewica zdjęta z rogów byka, nawrócony patrycjusz rzymski i tylko dzięki swej wyjątkowej sile fizycznej nie rozdarty rogami byka barbarzyńca mieli być skazani na przeżywanie wewnętrznego dramatu z powodu swojego „mniejszego” chrześcijaństwa, to chyba wszyscy współcześni nam chrześcijanie nie wyłączać wybitnych pisarzy katolickich musieliby się poczuć postaciami tragicznymi i znajdować się w stanie ciągłej duchowej rozterki.

Dobraczyński trafnie stwierdzając, że Sienkiewicz w Quo Vadis nie chciał być, ani nie był ideologiem chrystianizmu, jednocześnie zarzuca mu, że nie uprawiał tam propagandy „większego” chrześcijaństwa kosztem swego realizmu psychologicznego! Sienkiewicz nie mógł tak ujmować chrześcijaństwa, jak to czyni Dobraczyński, to znaczy uważać je za naukę, która „przeciwstawia się ziemskiej miłości i ziemskiemu pożądaniu”, bo wtedy znalazłby zrozumienie tylko u kapucynów i Trapistów.

Persiflując „wykrywanie” duszy w

Ligii przez Winicjusza autor zadaje pytanie: „Lecz co by było z odkryciem duszy, gdyby Ligia nie była aż tak piękna”? Odpowiedź na to jest prosta: Winicjusz nie dostrzegłby w niej duszy. Może przeszedłby obok niej nie zauważając jej wcale.

Wiele dróg prowadzi do wewnętrznego odrodzenia. Jeżeli ktoś jednak osiąga je przez kobietę, to kobieta ta zazwyczaj jest piękna.

Kobieta może być zła, albo dobra, może się stać zbawieniem, albo zgubą dla mężczyzny, ale ażeby odegrać przełomową rolę w jego życiu musi być pożądaną, a taką jest zazwyczaj kobieta piękna. Jeżeli autor sądzi, że jest inaczej to niechaj użyje swego wybitnego talentu pisarskiego, ażeby napisać powieść osnutą na tle miłości pięknego oficera do bezczepnej i ospowatej staruszki, w której on wykrył piękną duszę.

Może być, że ten eksperyment mu się uda. Zanim to jednak nastąpi niechaj zachowa pewną wyrozumiałość dla Sienkiewicza, który w swoich powieściach szedł bardziej utartymi ścieżkami.

Autor również niepotrzebnie wywleka ten oklepany już w krytyce literackiej temat miłości do „najdroższej na świecie głowy” i czyni to w związku z niezadawalającym go stosunkiem Sienkiewicza do chrystianizmu.

Wydało mi się, że inwokacje do „głowy” przy wyrażaniu uczuć dla kobiety zarówno jak do „ręki” przy zawieraniu małżeństwa jako formy ekspresji, akcentujące idealne motywy uczuciowe, bardziej harmonizują z postulatami chrystianizmu niż odwoływania się do innych części kobiecego ciała.

Jeżeli jednak nawet „głowa” razi wyznawcę „większego” chrześcijaństwa to pozostaje już tylko zupełnie wyreczenie się ziemskiego pożądania kobiety wraz z wszelkimi jego konsekwencjami, a więc także potomstwa, ojczyzny itd.

W ostatnich czasach namnożyło się gorliwych chrześcijan w literaturze. Radykalizm religijny ich wystąpienie nie powinien nas dziwić, bo wielu z nich dopiero niedawno odbyło swoją podróż do Damaszku. Powinniśmy go przyjąć do wiadomości cunn grano salis, bo różne drogi prowadzą do Damaszku, a drogi powrotne stamtąd na ogół nie zmierzają dzisiaj ku Aquae Salviae, lecz raczej ku wzgórzom Awentyńskiemu, gdzie rozważane są sprawy sprawiedliwego podziału dóbr ziemskich i słusznego zaspokojenia ziemskich pożądań.

Nie należy się jednak także dziwić i nam przedstawicielom starego nieco zrutyżowanego chrześcijaństwa, że chciwie łowią słowa „nowego objawienia” i idąc za nimi, stajemy niekiedy na rozdrożu i że wtedy aposto-

wi „nowego chrześcijaństwa” stawiaemy niemiłe pytanie: — Quo Vadis Domine?

Skarabeusz

Dyskusja o muzyce

Drugi Redaktorze!

Pisząc mój ostatni artykuł dla „Dziś i Jutro” p. t. „Wciąż o tym samym”, zdawałem sobie sprawę z faktu, że winniem liczyć się: 1) z koniecznością „otwarcia parasola” — mówiąc stylem Janusza Meissnera, 2) z rzeczową, spokojną polemiką. Na te drugie liczyłem poważnie, gdy zapowiedział mi swoją odpowiedź p. Jerzy Artemski. Niestety, jeszcze raz (zapewne nie ostatni) rozczarowałem się. Artykuł mój miał dwa aspekty. Jednym z nich były rozważania na temat kierunku współczesnej muzyki polskiej i polemika z p. „k. w.” z ruchu muzycznego, drugim zaś nawoływanie do zorganizowania wreszcie życia muzycznego i planowego upowszechnienia kultury muzycznej w kraju. Dodałem nawet, że „czas już skończyć z dysercjacjami i teorią, a wziąć się do czynu, bo Warszawa jest już piątą rok wolną”. Co z tym fantem zrobił p. „j. a.” można przekonać się, przeczytawszy jego artykuł p. t. „Dość teorii” („Dziś i Jutro” nr 14/176). M. in. dowiedziałem się z niego, że pisanie jakichkolwiek artykułów o tendencjach teoretycznych jest wręcz szkodliwe i „reakcyjne”, a ja gdy nawołuję do akcji praktycznej, akcji upowszechnienia muzyki, tu i w poprzednich artykułach mówiąc o kompozytorach, ekipach, ba, nawet o operze objazdowej — jestem szkodliwym teoretykiem, bowiem również poruszam zagadnienie kierunku dzisiejszej, a także przyszłej muzyki polskiej. Tak, to było wszystko. Piszę o tym w liście do Redakcji, bo nie chcę już wracać do tego tematu w moim następnym artykule, ale mi smutno. Bo p. „j. a.” nie przeczytał uważnie wszystkich moich wypowiedzi w „Dziś i Jutro”, a ze swoim „pozytywnym” artykułem czekał (jak się wydaje) tylko na jakiś odpowiedni moment. A ja czekałem na kulturalną, rzeczową i inteligentną replikę, bo od p. „j. a.” miałem prawo jej oczekiwać i... zawiodłem się.

Z sympatią i szacunkiem
Stanisław Urstein

Jeszcze sprawa naszego podwórka

SZANOWNNA REDAKCJO!

Polemika, jaką wywołał artykuł p. J. Zacharzewskiego, jest może nieco spóźniona, niemniej jednak pożyteczna. Piszę spóźniona, gdyż z każdym niemal dniem stosunki, panujące w życiu i zachowaniu studentów, zmieniają się na korzyść. Może to oszczędzić każdy, kto obserwował je przed 2 — 3 laty. Dlatego też wypowiedzi te byłyby o wiele cenniejsze w tamtym okresie.

Po ostrej replice p. K. Nowaka trudno mi stawać w „obronie” młodzieży akademickiej. Nie mogę się jednak zgodzić, ażeby wypowiedziom poprzednim chodziło li tylko o obronę zdżiedzzonej swobody, cechującej większe grono aka demickie”. Sądzę, że wypowiedź p. Nowaka wypadła co najmniej jednostronnie. Nie twierdzę bynajmniej, że „wszystko jest w porządku”, ale przy dobrej chęci większość bolączek da się usunąć. Jasne jest, że doszukując się objawów „zdżiedzzonej swobody” dopatrywać się jej możemy w wielu niewinnych nawet zartach. Na ogół jednak fakty przytoczone przez moich poprzedników, mające świadczyć na ich korzyść, są raczej sporadyczne. Jeśli chodzi np. o zabawy, to w licznych wypadkach urząda się je bez alkoholu, trudno więc potępiać je w czambuł. To samo da się powiedzieć o studentach - sublokatorach, którzy cieszą się częściej przychylnością społeczeństwa, niż wywołują narzekania „pań gospodyni”. Zresztą z owymi „paniami gospodyniami” też jest bardzo różnie i trudno nieraz przejmować się ich narzekaniami.

Na marginesie zaznaczę, że ciekawym byłoby ogólnie zapoznać się nie tyle z psychiką życia akademickiego, co z jego socjologią. Studium takie mogłoby mieć duże znaczenie poznawcze i normatywne.

Kończąc pragnąłbym poprosić p. Nowaka o bardziej spokojny ton sformułowań, które jakkolwiek „parlamentarne”, są nieco prowokacyjne.

Z poważaniem
Kazimierz Dobrowolski
student Uniwersytetu Łódzkiego

Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwpozarowe tkoczne

Zachować dla siebie swój adres i nie zapomnieć o tym, by nam opisać, jak najlepiej możemy służyć Twoim potrzebom.

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
IWIS' SPAK. GRODZISK MAZ. DZ. SPÓŁDZIELCZA 24 1067

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 830-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych Kwartalna 180 złotych

B-72097